

CHODŹ, OPOWIEM CI HISTORIĘ

Szept Zestanców

WYWIADY Z SYBIRAKAMI

CHODŹ, OPOWIEM CI HISTORIĘ

Szept Zestanców

WYWIADY Z SYBIRAKAMI

ZAMOŚĆ, POLSKA, 2018



STOWARZYSZENIE 'HEUREKA GENERATOR'
UL. POPRZECZNA 17/78
22-400 ZAMOŚĆ
POLSKA

www: heurekagenerator.pl
e-mail: heurekagenerator@gmail.com
FB/ HEurekaGenerator

PRINT:

Drukarnia FastGraw, Zamość

ISBN:

978-83-65460-09-7



PUBLIKACJA STWORZONA W RAMACH
MIĘDZYNARODOWEGO PROJEKTU MŁODZIEŻOWEGO
„LET ME TELL YOU A STORY – WHISPER OF EXILE”.
PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH EUROPEJSKIEGO PROGRAMU ERA-
SMUS+, AKCJA KLUCZOWA 1, SEKTOR „MŁODZIEŻ”.



WPROWADZENIE

W Europie i w Polsce - z roku na rok - ubywa świadków wydarzeń związanych z II wojną światową. Ci, którzy żyją mają już po osiemdziesiąt i więcej lat, dlatego tak cenne są ich wspomnienia i fakt, że chcą się nimi dzielić. Spotkaliśmy takich seniorów i spisaliśmy ich historie. Bohaterami tych historii są zamojscy Sybiracy – ludzie, którzy dzieciństwo i młodość spędzili na zesłaniu.

Ta publikacja jest efektem finalnym projektu „Let me tell you a story – Whisper of exile”, w który zaangażowała się młodzież z Cypru, Czech, Rumunii, Węgier i Polski. To zaangażowanie widać było na każdym etapie jego realizacji, kiedy trzeba było poznać skomplikowane międzynarodowe relacje, zdobyć wiedzę na temat deportacji ludności na Wschód, uczestniczyć w warsztatach dziennikarskich, przygotować pytania do wywiadów, przeprowadzić je i opracować.

Uczestnicy projektu byli też animatorami szczególnych „lekcji historii” - happeningu, który odbył się na zamojskim Rynku Solnym oraz spotkania z młodzieżą szkolną. Młodzi Europejczycy starali się zainteresować tematem społeczność naszego regionu: rozmawiali z uczniami, rysowali symboliczny obraz, wypisywali cytaty z wywiadów, wskazywali zdjęcia i mapy znajdujące się na banerach, rozmawiali i rozdawali ulotki.

Realizacja projektu i wydanie tej publikacji nie byłyby możliwe bez ogromnego wsparcia jakie dostaliśmy od zaprzyjaźnionych organizacji, zwłaszcza Związku Sybiraków Oddział w Zamościu, mediów i społeczności lokalnej naszego regionu, za co bardzo dziękuję w imieniu naszego stowarzyszenia. Wspólnie ożywiliśmy pamięć o rzeczach ważnych i ponadczasowych.

*Andrzej Smyk
Prezes Zarządu
Stowarzyszenie HEureka Generator*

RYS HISTORYCZNY

Represje Związku Radzieckiego wobec obywateli polskich w czasie II wojny światowej i w latach 1944 – 1946

W latach 1939-1941 Związek Radziecki w porozumieniu z III Rzeszą Niemiecką okupował połowę przedwojennego terytorium państwa polskiego. W ramach polityki represji zastosowane zostały masowe deportacje ludności. W głąb ZSRR, na Syberię i do Kazachstanu, trafiły wielotysięczne rzesze Polaków. Głównym celem deportacji była eksterminacja polskich elit, rozbicie społecznej struktury oraz dostarczenie totalitarnemu, sowieckiemu imperium siły roboczej.

W latach 1944–1946 z Polski Ludowej wywieziono w głąb ZSRR w ramach „utrwalania nowej, socjalistycznej władzy” ok. 45 tysięcy osób. Byli to żołnierzy podziemia (głównie członkowie Armii Krajowej) oraz Polacy, którzy nie zgadzali się na nowy ustroj i porządek narzucony Polsce na konferencji w Jałcie.

Deportacje

- 10 lutego 1940 r. - 140 tys. ludzi, głównie ludność cywilna.
- 13 i 14 kwietnia 1940 r. - 61 tys ludzi; deportacja dotyczyła przede wszystkim tzw. „wrogów ustroju” - urzędników państwowych, wojskowych, policjantów, nauczycieli, działaczy społecznych, kupców, przemysłowców i bankierów oraz rodziny osób aresztowanych. W tej deportacji było bardzo dużo kobiet i dzieci.
- Maj – lipiec 1940 r. – 80 tys. ludzi, głównie osoby, które przybyły na kresy wschodnie z centralnej Polski i Żydzi.
- Maj – czerwiec 1941 r. - ok. 85 tys. ludzi. Na zesłanie pojechała głównie ludność ze środowisk inteligentnych, rodziny kolejarzy, rodziny osób aresztowanych przez NKWD.

Pierwsza deportacja przeprowadzona przez NKWD 10 lutego 1940r. odbyła się w straszliwych warunkach, które dla wielu były wyrokiem śmierci. W czasie jej realizacji temperatura dochodziła nawet do minus 40°C.

Kolejne trzy deportacje, przeprowadzono wiosną i latem. Deportowanych przewożono w wagonach towarowych z zakratowanymi oknami. Do wagonu ładowano od 30 do 50 osób. Podróż na miejsce zsyłki trwała nawet kilka tygodni. Warunki panujące w czasie transportu były przerażające, ludzie umierali z zimna, z głodu i wyczerpania. Po dotarciu na miejsce zsyłki zesłańców czekała niewolnicza praca, nęstwa, choroby i głód.

Prawda o ich losie, skrywana przez całe dziesięciolecie, dziś jest przedmiotem refleksji pamiętnikarskich, publicystycznych i naukowych. Jest też przedmiotem naszego, międzynarodowego projektu.

SPIS TREŚCI

WPROWADZENIE	4
RYS HISTORYCZNY	5

WYWIADY:

BARBARA SZLESZYŃSKA - MALEC	7
JÓZEF MOŁODECKI	12
ZBIGNIEW KRUK	20
WERONIKA CYBULSKA	27
WŁADYSŁAW SITKOWSKI	36



BARBARA SZLESZYŃSKA - MALEC

Jest pani prezesem Zarządu Oddziału Związku Sybiraków w Zamościu. Od kiedy istnieje ta organizacja i w jakim celu została powołana?

Związek powstał jeszcze przed wojną, ponieważ Rosjanie zsyłali Polaków na Syberię od dawna. Po II wojnie światowej reaktywacja nie była możliwa z powodów politycznych. Doszło do niej 17 grudnia 1988 roku. Związek Sybiraków jest organizacją zrzeszającą byłych zesłańców, a jej główne cele to: reprezentowanie interesów członków oraz ich rodzin, a zwłaszcza uzyskiwanie dla nich odszkodowań, rent, dodatków do emerytury, uprawnień kombatanckich i zdrowotnych. Celem związku jest także upamiętnianie losów Sybiraków, wnioskowanie o odznaczenia dla nich, opieka nad grobami i pomnikami, a także działalność charytatywna i współpraca z zagranicznymi organizacjami o podobnym profilu.

Mamy też swoje godło, sztandar i hymn – symbole bardzo dla nas ważne.

Od kiedy jest Pani prezesem zamojskiego oddziału?

Od 2002 roku.

Ilu członków liczył oddział w Zamościu w momencie założenia Związku, a ilu liczy dziś?

W momencie założenia, to znaczy w 1989 roku było zarejestrowanych 314 członków, a później ponad 500. Oddział obejmował swoim zasięgiem powiaty: hrubieszowski, tomaszowski i biłgorajski. A dziś – została nas może jedna trzecia.

Ci, co zostali w jakim są wieku?

Najmłodszy są po siedemdziesiątce, a najstarsi mają 90 i więcej lat.

Czy czują się związani z organizacją?

Z organizacją związani są bardzo. Opłacają regularnie składki, w każdy czwartek (jest to dzień mojego dyżuru) przychodzą do biura, interesują się zdrowiem innych członków, biorą udział w spotkaniach okolicznościowych, w spotkaniach z młodzieżą i ważnych uroczystościach. Ci, co nie wychodzą już z domu dzwonią, pytają co słychać, proszą o publikacje, kalendarze. Pytają o kondycję związku i są gotowi finansować wydatki. My, ci młodszy i sprawniejsi, też ich odwiedzamy. Jedną z pań każdego roku, w „tłusty czwartek” przysyła nam pączki, które przynosi jej syn, albo wnuk.

Czy jest jakiś dzień szczególnie dla Was ważny?

Tak, jest to Dzień Sybiraka, który obchodzimy 17 września. Zarząd Oddziału organizuje tego dnia uroczystości na Zamojskiej Rotundzie i spotkania tematyczne. W kościołach odprawiane są msze święte w intencji Sybiraków.

W całej Polsce są miejsca upamiętniające Sybiraków, a jak jest w Zamościu?

W Zamościu też są takie miejsca. W 1991 roku, w 50 rocznicę deportacji została osłonięta tablica w Kościele Świętego Krzyża. W roku 1994 – tablica w Zamojskiej Katedrze.

24 kwietnia 1993 roku w Rotundzie - miejscu martyrologii ludności Zamojszczyzny, została otwarta Krypta Sybiraków. Na ścianie frontowej Krypty są dwie granitowe płyty z wypisanymi nazwami obozów, łagrów i miejsc straceń.

Mamy też w Zamościu ulicę Sybiraków i Sybiryacy są patronem jednej ze szkół. W tej szkole odbywają się konkursy wiedzy, akademie i apele okolicznościowe, spotkania, lekcje „żywej historii”, a nawet integracyjne przyjęcia. Nauczycielom, uczniom i dyrekcji bardzo zależy na upamiętnieniu losów zesłańców, a to cieszy.

Prezesem Związku Sybiraków nie została Pani z przypadku, bo przecież jest Pani

Sybiraczką i pochodzi Pani z rodziny Sybiraków. Policzyła Pani, że ze strony ojca i matki na zesłaniu było aż 17 osób!

Tak, jestem z rodziny zesłańców i na zesłaniu się urodziłam. A było to 31 maja 1942 roku w miejscowości Aryk Bałyk, w Kazachstanie. Oczywiście, niczego nie pamiętam, ale znam doskonale losy całej mojej rodziny.

Losy wszystkich członków rodziny trudno byłoby zmieścić w tym wywiadzie, dlatego skupmy się może na losach Pani babci, Cecylii Dukarskiej, które łączą się nierozzerwalnie z Pani losami.

Moi dziadkowie, Cecylia i Kazimierz Dukarscy, mieszkali w Pińsku – przed wojną ta miejscowość była na terytorium Polski, aktualnie jest na Białorusi. Mieli sześcioro dzieci, 5 córek i jednego syna. Najstarsza była 18 – letnia Stefania. Dziadek pracował w służbie więziennej, babcia zajmowała się dziećmi. 17 września 1939 roku Rosjanie aresztowali dziadka i słuch o nim zaginął. Po wielu latach babcia otrzymała informację, że został zamordowany przez NKWD.

W kwietniu 1940 roku, w trakcie II deportacji, babcia z tą szóstką dzieci została wywieziona do Kazachstanu.

Czy zna Pani szczegóły tego wydarzenia?

Tak, oczywiście. Rosjanie wpadli do mieszkania babci o świcie 13 kwietnia 1940 roku. Odczytali pismo o natychmiastowym wyjeździe i kazali się w ciągu pół godziny spakować. Jeden z żołnierzy odpowiedział babci, żeby wzięła jak najwięcej jedzenia i ubrań, a jeszcze wskazał na maszynę do szycia... Ta maszyna bardzo się jej później przydała. Następnie, razem z innymi polskimi rodzinami, zostali zawiezieni ciężarówkami na stację kolejową. Tam załadowano wszystkich do bydłych wagonów i ... ruszyli w nieznane. Podróż trwała 3 tygodnie. W wagonie było 30 osób.

Siedzieli na drewnianych pryczach, podłódze lub swoich rzeczach. Na środku, w podłódze była dziura przez którą załatwiali potrzeby fizjologiczne. Było to, zwłaszcza dla dziewcząt, wyjątkowo krępujące. Podróżujący nie dostawali jedzenia tylko raz na dobę wiaderko gorącej wody. W końcu dojechali. Pociąg zatrzymał się w Kokczetawie.

Dla rodziny Dukarskich nie był to jednak cel podróży – samochodem zostali zawiezieni do miejscowości Imantaw. Tam zostali zakwaterowani w dwuizbowym domu u gospodyni Łampej Kuczmy, Dostali jedno pomieszczenie bez mebli, bez podłogi... Trzy starsze córki już na trzeci dzień zostały zatrudnione w kołchozie oddalonym o 17 kilometrów. Praca była ciężka, ale nie głodowały. Gorzej było w zimie – bardzo niskie temperatury i brak ciepłych ubrań spowodowały, że nie chodziły do pracy. A jak nie pracujesz to nie jesz – taka była zasada. Babcia opiekowała się młodszymi dziećmi. Było biednie i głodno, często w ciągu dnia zjadali tylko po jednym kartofelku... Babcia robiła wszystko, żeby zdobyć trochę jedzenia. I tu przydały się jej umiejętności – szyła, przerabiała, robiła na drutach czapki, skarpety, swetry, haftowała bluzki. Pomagały jej w tym młodsze córki. Kobiety z wioski tego nie potrafiły i „płaciły” jedzeniem.

A jak poznali się Pani rodzice?

Mój tatuś, Wincenty Szleszyński był też z Pińska. Jechał do Kazachstanu w tym samym transporcie z rodzinami dwóch sióstr, ale oni zamieszkali w miejscowości Złota Górka, kilka kilometrów od Imantawu. Pewnego dnia trafił do domu Dukarskich, bo - po prostu - szukał rodaków.

Poznał Stefanię, moją mamę, pokochali się i w sierpniu 1941 roku odbył się ślub. W maju 42 roku miało przyjść na świat dziecko – czyli ja. Mój tata nie chciał, żebym rodziła się w domu i postanowił zaprowadzić mamę do oddalonego o 18 kilometrów szpitala w Aryk Bałyk. Nie wiem jak długo szli, ale doszli. Poród odbierał lekarz, Polak, który ochrzcił mnie „z wody”. Byłam pierwszym, urodzonym w tym szpitalu, w 42 roku dzieckiem. Życzliwi ludzie

obdarowali mamę, czym mieli – ubrankami, kawałkami płótna, jedzeniem. Kiedy mama była w ciąży z drugim dzieckiem (brat urodził się w marcu 1945 roku) tatę siłą wcielono do sowieckiej Armii Czerwonej. Walczył na froncie południowym, był ranny pod Budapesztem.

W 1944 roku można było już zmienić miejsce zamieszkania, czy Pani babcia skorzystała z tego przywileju?

Babcia – tak. Dostała przydział do Sarn. Wyjechała z rodziną w listopadzie 44 roku. Na wyjazd nie zdecydowała się moja mama, która powiedziała, że będzie tu, w Kazachstanie czekać na męża. I doczekała się: tatuś wrócił w 1946 roku i razem, już we czwórkę, wyruszyliśmy do Polski.

Jak to się stało, że wszyscy, cała rodzina Dukarskich i Szleszyńskich znalazła się w Zamościu?

Kiedy babcia z rodziną dojechała do Sarn, okazało się, że można już wracać do Polski. Nie czekali długo – już po dwóch tygodniach, pierwszym transportem wyjechali do ojczyzny. 18 grudnia 1944 roku z Państwowego Urzędu Repatriacyjnego otrzymali skierowanie do Chełma. W drodze do Chełma zatrzymali się w Zamościu, gdzie spotkali starego znajomego, dyrektora gimnazjum z Pińska! Ten zaproponował im pomoc i namówił do pozostania w tym mieście. Przez pierwsze dni rodzina mieszkała w poczekalni kina, później w wynajętym pokoju, a w końcu dostali dwupokojowe mieszkanie na Starym Mieście. Moi rodzice dołączyli do nich po dwóch latach.

Co jeszcze ciekawego opowiadali Pani babcia, rodzice?

Wzruszająca była relacja mojej babci i ciotek z przyjazdu do Zamościa. Kiedy wysiedli z pociągu, na dworcu czekały na zesańców kobiety, a każda miała ze sobą chleb i garnek z zupą ... Później też

mieszkańcy bardzo pomagali Sybirakom.

Moja babcia zawsze w kieszeni nosiła chleb... Wspomnienie ciągłego głodu w Kazachstanie było olbrzymie. Była zawsze bardzo gościnna - każdego gościa częstowała, czym mogła.

Opowiadała też o małych kartofelkach... czas wegetacji roślin w Kazachstanie był krótszy, niż w naszym klimacie, dlatego warzywa nigdy nie mogły „dorosnąć” i miały gorszy smak. Moja mama do końca życia nie lubiła zapachu nieobranych kartofli, gotowanych w tak zwanych „mundurkach”.

Często mówi się o traumie, o tym, że małe dzieci nawet jak nie pamiętają drastycznych przeżyć, „to coś w nich jest”. Może się Pani ustosunkować do tego stwierdzenia?

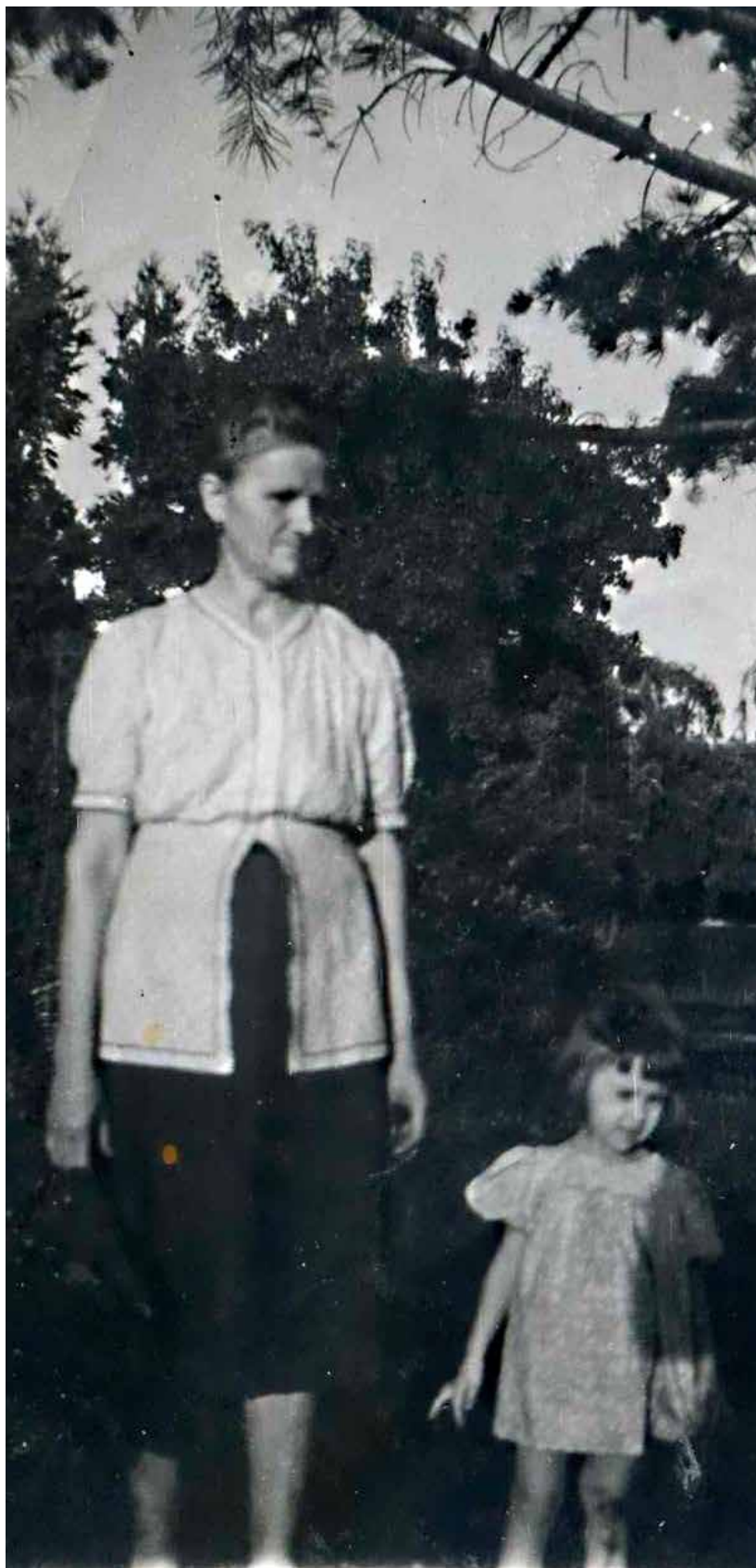
Nie, nigdy czegoś takiego nie odczuwałam. Może dlatego, że nawet w tych trudnych czasach rodzice zawsze otaczali mnie troską i miłością.

A co chciałaby Pani przekazać uczestnikom tej historycznej, międzynarodowej wymiany młodzieży?

Przede wszystkim chciałam podziękować za zainteresowanie się losami Sybiraków i dość skomplikowaną historią polskiego narodu. Cieszę się, że mogłam wziąć udział w tym niesamowitym przedsięwzięciu i wszystkich Was poznać.

A co chciałabym przekazać? To, że w życiu najważniejsze są więzi rodzinne. Nasza rodzina wspierała się cały czas, dlatego przetrwaliśmy... w komplecie.

Dziękuję bardzo, Pani Barbaro, za wywiad i pomoc merytoryczną w realizacji projektu.



Barbara ze swoją mamą, Stefanią Szleszyńską, rok 1944



Członkowie Zamojskiego Oddziału Związku Sybiraków:
Barbara Szleszyńska - druga z lewej, Zbigniew Kruk -
w mundurze, Władysław Sitkowski - pierwszy z prawej



Rodzina pani Basi: Szleszyńscy i Dukarscy. Osoby za-
kreślone kółkiem to Sybiracy



Cela Sybiraków, Rotunda Zamość



JÓZEF MOŁODECKI

Na wstępie zapytamy o Pana samopoczucie.

A dziękuję. Jak na swoje lata czuję się całkiem dobrze. Gdy byłem młodszy, nigdy nie byłem tak zdrowy jak moi koledzy. Teraz jest na odwrót – oni chorują, a ja jestem w doskonałej formie. Generalnie staram się żyć zdrowo, w czym pomaga mi moja dieta. Poza tym, z natury jestem bardzo spokojny, wręcz flegmatyczny i praktycznie nigdy się nie denerwuję. To też pomaga. No i jeszcze aktywność fizyczna – ruch, gimnastyka, też mają wpływ na zdrowie. Mój dużo młodszy brat, który jest wójtem Gminy Hrubieszów, zazdrości mi tej kondycji. Kiedy spotykamy się na uroczystościach rodzinnych zawsze żartuję sobie i mówię, że jestem lepszej jakości, bo urodziłem się przed wojną (śmiech). Ludzie po wojnie przez długie lata uważali, że to, co było zrobione przed wojną, było lepsze i miało wyższą wartość.

Ile lat ma Pański brat?

Jest 13 lat młodszy ode mnie. Urodził się w 1949 roku. Pewnego razu, gdy spacerowałem z nim i z jego kolegą, ten ostatni zapytał mnie, czy ja naprawdę byłem na Syberii, a ja odpowiedziałem, że tak. Następnie zapytał mnie jak tam było, a ja mu odpowiedziałem, że było bardzo miło, bo baraki znajdowały się blisko rzeki i w środku lasu (śmiech).

Czy pamięta Pan coś sprzed deportacji?

Jedyne co pamiętam, to zabawę na podwórku z czarnym psem, który miał białą łatę na piersi.

A może pamięta Pan podróż?

Nie, nie pamiętam nic więcej. Miałem wtedy trzy i pół roku... To, co pamiętam wydarzyło się już w 1941 roku.

Jakie są pana pierwsze wspomnienia z tamtego okresu?

Pamiętam jak w 1941 roku przyszedł do nas policjant i zabrał nasze jedzenie... Pamiętam też jak Sowietzi kazali suszyć dla nich chleb, bo mówili że wojna będzie jeszcze gorsza.

I coś jeszcze?

Pamiętam rozmowy moich rodziców z Rosjanami, którzy dawali im rady, jak przetrwać w tak trudnych czasach. Oni sami byli na zesłaniu dłużej niż my i mieli większe doświadczenie.

Dopóki nie wybuchła wojna między Niemcami a Związkiem Radzieckim nie było aż tak źle, bo każdemu udawało się coś dorobić i mieliśmy co jeść. Udawało się też odłożyć trochę chleba i ususzyć go dla Rosjan.

Jak spędzał Pan wolny czas?

Jako że nie chodziłem do szkoły, mogłem robić co tylko chciałem. Głównie spędzałem czas z przyjaciółmi w barakach, albo w lesie. Moja o dwa lata starsza siostra chodziła do rosyjskiej szkoły.

Czyli była tam szkoła w okolicy?

Tak, była rosyjska szkoła. Była tam nauczycielka, Pani Kwiatkowska, która zajmowała się organizacją życia kulturalnego. Przygotowywała występy i przedstawienia teatralne.

To znaczy, że polska szkoła nie funkcjonowała, ale Pani Kwiatkowska zajmowała się polską kulturą. Czy robiła to w szkole, czy w barakach?

W szkole byli sami rosyjscy nauczyciele. Szkoła była podobna do tych w naszym kraju, ale uczyli nas tam tylko podstawowych przedmiotów. Pani Kwiatkowska próbowała zachować polską kulturę. Organizowała polskie potańcówki i konkursy piosenek dla młodszych i starszych dzieci. Było tam jak w małym domu kultury.

Czy mieliście na to pozwolenie?

Tak, mogliśmy to robić. Moja siostra, na przykład, recytowała pięknie „Śmierć Pułkownika” Adama Mickiewicza, a ja śpiewałem pieśń „Jak wysoko lecą orły”... Ten wiersz Mickiewicza też umiałem i pamiętam go do dziś.

Dlaczego wciąż Pan to pamięta?

Nauczyłem się tego wiersza tam, na Syberii. Opowiada on o żołnierzach w lesie i o śmierci pułkownika brygady. Był on wspaniałym bohaterem, który przelał krew za swoją ojczyznę.

Czuliśmy się silni poprzez polskość tego wiersza, szczególnie dlatego, że sami żyliśmy jak niewolnicy w obcym kraju. W takich sytuacjach zaczynasz interesować się własnym krajem. Chcesz się dowiedzieć na jego temat tyle, ile to możliwe.

Czy mogliście świętować święta narodowe?

Oficjalnie było to zakazane.

Czy robiliście to w sekrecie?

Nie, ponieważ byliśmy pod ścisłą kontrolą NKWD. Sprawdzali wszystko. Wszędzie zaglądali robiąc niesamowity bałagan w naszych domach. Pamiętam, że mieli wielkiego, strasznego psa, którym nas zastraszali. Ale mimo, że nie mogliśmy obchodzić naszych świąt, starsi mówili, że wszyscy jesteśmy bohaterami i że jesteśmy przyszłością naszego narodu.

Czy zesłańcy byli żołnierzami?

Zesłańcy byli głównie żołnierzami z czasów wojny polsko-bolszewickiej z 1920 roku.

Jak karano za obchodzenie świąt?

Można było za karę zostać aresztowanym i

wysłanym do więzienia. Mój przyjaciel, z którym chodziłem do szkoły, linijką wydrapał w podręczniku oko Leninowi. Nauczycielka zauważyła to i zgłosiła lokalnej policji. Ci przyszli, aresztowali go i wysłali do więzienia. Spędził tam 3 dni, cały czas go bili. Ale nie wszyscy nauczyciele byli tacy ideowi. Pamiętam miłą, młodą nauczycielkę, która odwiedzała polskie rodziny i gdyby to ona znalazła taki podręcznik, zniszczyłaby go i nikt by się o sprawie nie dowiedział.

Jak układały się stosunki między Polakami a Rosjanami w tamtym czasie?

Były bardzo dobre, ponieważ wszyscy byliśmy na zesłaniu. Rosjanie tak samo jak my nienawidzili tych, którzy nas zesłali. Jednak jeśli ktoś należał do Partii Komunistycznej i znalazł coś nielegalnego, od razu zgłaszał to lokalnym władzom. Ludzie z Partii próbowali pokazać, że są lepsi, bardziej oddani i że noszą na swoich barkach cały ciężar poglądów partyjnych i komunistycznego systemu. To dlatego denuncjowali ludzi.

Generalnie jednak żyliśmy w dobrej komitywie z ludźmi, z którymi pracowaliśmy. Ci rosyjscy robotnicy dawali nam rady jak przetrwać, jak jeść, jak rozdzielać jedzenie między członkami rodziny i jak wyrabiać normę w pracy.

Czy byli też zesłańcy z innych krajów?

Tak, byli Tatarzy, Estończycy, ale oni zostali wyeliminowani w trakcie jednej zimy. Zabrano ich do więzienia i zabijano jednego po drugim. Przez krótki czas byli też Finowie. Kiedy przyjechali, komendant obozu ustawił ich w rzędzie i powiedział, że będą tu pracowali aż zdechną i że niech nie mają nadziei na powrót do domu.

Jak była zorganizowana praca?

Ilość drzew jaką każdy miał ścinać, była ustalana przed podjęciem pracy. Jedzenia było specjalnie za

mało, by można było kontrolować więźniów.

Co jedliście i jak zdobywaliście jedzenie?

W każdej rodzinie jedna osoba dostawała kartkę na jedzenie. Znajdowała się tam jadalnia, gdzie można się było udać ze swoją miską i gdzie można było dostać zupę i kawałek chleba. Zupa była bez smaku, więc zeskrobywaliśmy słodką korę z gałązek drzew cytrusowych i dodawaliśmy do niej taką przyprawę. Kiedy człowiek głoduje, zje wszystko co jest jadalne.

Czy dostawaliście jakieś pieniądze, czy tylko jedzenie?

Dostawaliśmy trochę pieniędzy i mogliśmy kupić jedzenie w sklepie.

W jakiej walucie wam płacono?

W rublach.

Co można było kupić w sklepie?

Zboże, smalec, margarynę. Także całkiem znośne zupy. Przed napaścią Niemiec na ZSRR dostawaliśmy po 600 gram chleba dla każdej osoby pracującej i po 400 gram dla każdego, kto nie pracował.

Co się stało po wybuchu wojny?

Po wybuchu wojny dostawaliśmy po 500 gram dla osoby pracującej i 400 dla niepracującej. Pamiętam też, że wielu Polaków zdecydowało się wstąpić do armii Andersa. Żegnali się z rodzinami, było to bardzo wzruszające...

A Pana rodzina, jak zdecydowała?

Pracowali przy wycince lasu i nie wstąpili do armii. Gdy Niemcy zaatakowali Rosję, wszyscy byli przygnębieni i przerażeni. Baliśmy się, że jak przyjdą Niemcy to nas wszystkich zabiją.

Kto z Pana rodziny pracował w lesie?

Mój dziadek, ojciec, matka, wuj Piotr i jego żona. Moja babcia nie pracowała, bo zajmowała się dziećmi.

Czy miał Pan tam jakichś przyjaciół?

Miałem przyjaciela, nazywał się Józik Zimnowódzki. Pochodził z rodziny inteligenckiej. Jego ojciec był oficerem i został wzięty do niewoli w 1939 roku.

Co Pan robił, kiedy rodzina była w pracy?

Kiedy byłem młodszy, nie pracowałem, ani nie pomagałem w lesie. Jednak pewnego lata, jeden ze starszych kolegów zebrał kilkoro z nas i poprosił, byśmy zbierali jagody i grzyby w lesie. Las był spory, więc było co zbierać. Łowiliśmy też ryby w rzece niedaleko baraków.

Jak wyglądało wasze zakwaterowanie?

Baraki były trwałe, z solidnego drewna. Każda rodzina miała własną izbę, oddzieloną ścianami z drewna. Kuchnia była gliniana z żelazną płytą.

Czy ludziom udawało się przeżyć?

Wielu ludzi umierało zaraz po przyjeździe z powodu niskich temperatur, tyfusu i braku jedzenia.

Czy baraki budowaliście sami, czy były zbudowane wcześniej?

Rosjanie opowiadali, że po przyjeździe w 1924 roku zostali wyrzuceni z pociągu i powiedziano im, że jak uda im się przeżyć, to dobrze, a jak nie, to i tak nie byli potrzebni. I to oni wtedy te baraki zbudowali.

Ile rodzin mieściło się w baraku?

W naszym mieszkaniu było około 40 rodzin. Wszy i robactwo były wszędzie. Najgorsze były pluskwy, wyglądały jak biedronki, ale były płaskie i całe czerwone. W dzień łaziły po podłodze, ale w nocy wychodziły i gryzły śpiących ludzi. Nie było żadnej chemii, by się ich pozbyć, mogliśmy tylko maczać nogi łóżka w oleju parafinowym. Ślizgały się wtedy i nie mogły do łóżka wejść.

Jak wyglądała wasza higiena?

W domu jedyne co mieliśmy to blaszana miska, jednak w każdą sobotę mogliśmy iść do łaźni i tam się porządnie umyć. Oprócz tego wylewaliśmy wodę na gorące kamienie i siedzieliśmy w tej parze.

Czy ma Pan jakieś szczególne wspomnienie z tamtych lat?

Pamiętam, jak w 1943 roku, wszyscy zdolni do pracy mężczyźni zdecydowali, że wstąpią do polskiej armii i jak zegnali się ze swoimi rodzinami. Mówili, że wyzwolą Polskę i że nas stąd zabiorą. To były bardzo smutny czas. Nawet jedzenia dostawaliśmy wtedy mniej. 400 gram dla pracujących, 200 gram dla niepracujących. Czasem jakaś ryba w zupie, czy kawałek ziemniaka, ale to wciąż było za mało. Dostawałem te 200 gram chleba, które miały mi wystarczyć do następnego dnia i płakałem. Wiele osób wtedy zmarło, ponieważ nie mogli wypracować normy. Ci „bogatsi” Polacy sprzedawali swoje ubrania Rosjanom, by kupić sobie coś do jedzenia. Szesnaście kilometrów dalej znajdował się kołchoz, w którym kupowaliśmy pszenicę. Zesłańcy, którzy posiadali jakieś umiejętności, jak szycie, kowalstwo czy szycie butów mieli łatwiej, bo mogli zarobić pieniądze. Nasz dziadek był stolarzem, więc mógł robić podłogi, okna czy meble.

Co się działo jak ktoś umarł?

Mieliśmy osobny cmentarz dla Polaków. Został nam wydzielony, bo wiele osób umierało.

Ludzie przychodzili, modlili się parę minut i to wszystko.

Był tam jakiś ksiądz?

W naszym obozie nie, ale czasem przyjeżdżał do nas jeden z bardzo daleka. Nie zabroniono nam modlić się w rodzinach, ale w dużych grupach już tak. Rosjanie nie mogli modlić się w ogóle. Komuniści twierdzili, że religia to wytwór wyobraźni i że nie można tracić na nią czasu. Jeśli władze usłyszały, że ktoś się modli, taka osoba była bita w więzieniu. Rosjanie opowiadali, że pewien bohater ZSSR powiedział, że jego rodzice modlą się w domu. Podobno zabito ich, a on dostał medal. Pewnego razu jeden ze starszych Rosjan poprosił mojego dziadka, by ten zrobił krzyż na grób członka jego rodziny. Ktoś z Partii to zauważył i niedługo policja zawitała do jego domu pytając skąd wziął się ten krzyż. Rosjanin nie przyznał się i wskazał mojego dziadka jako winowajcę. Policjant zapytał mojego dziadka czy to on zrobił, a mój dziadek się przyznał, jednak nie został ukarany, bo nie był Rosjaninem.

W Pana nocie biograficznej, którą dostaliśmy przed spotkaniem jest informacja, że miał Pan poważny wypadek. Proszę o tym opowiedzieć.

Mój dziadek dostał lepszą pracę, cztery kilometry od nas. Zajmował się końmi. Pewnego letniego dnia szliśmy do niego we czworo: ja, moja siostra i dwójka naszych przyjaciół. Szliśmy przez las i nagle zza drzew wyskoczył na nas rabuś. Chciał okraść nas z chleba, a my nie chcieliśmy mu go oddać. Upadłem na ziemię i zacząłem się czołgać, a on uderzył mnie tasakiem w głowę i otworzył mi czaszkę. Jedyne co zobaczyłem to gwiazdy przed oczami. Potem ciemność i poczułem ciepłą krew na policzku. Na szczęście lasem szli jacyś ludzie i napastnik uciekł pomiędzy drzewa. Nigdy go nie złapano. Moi przyjaciele pobiegli po mojego dziadka, bo byliśmy już w połowie drogi. Dziadek przybiegł i zabrał mnie do rosyjskiego lekarza. Ten

później powiedział dziadkowi, że uratował mnie mój kapelusz. Był twardy, zrobiony z bawełny. Dalej mam bliznę na głowie (pokazuje bliznę). Miałem pękniętą czaszkę, jednak na szczęście membrana wokół mojego mózgu była nienaruszona. Ten wypadek zdarzył się w czasie, kiedy wielu ludzi umarło i wszyscy myśleli, że mnie czeka to samo.

Co się działo w obozie w czasie wielkiego głodu?

Na początku 1943 w naszym obozie znajdował się barak Ukraińców. Stał daleko od nas i my, dzieci, nie mogliśmy tam chodzić. Rok później, gdy Armia Radziecka szła na Berlin i dotarła do województwa wołyńskiego, Rosjanie aresztowali tamtejszych Ukraińców i zsyłali na Syberię. I mimo że byli oni pod ścisłą kontrolą lokalnych władz, dwóch uciekło i zaczęli zabijać w lesie ludzi, którzy wracali z jedzeniem z kolchozu. Zabili tak jednego Polaka. Próbowali też zabić panią Kwiatkowską, ale jakoś udało jej się ich ubłagać.

Zostawili ją w spokoju, kiedy płacząc powiedziała, że ma dwójkę dzieci i że nie powie nikomu o tym wydarzeniu. Jak tylko wróciła do obozu, zawiadomiła policję. Policjant przebrany za robotnika udał się w tamto miejsce i zastrzelił zbójów. Po tym incydencie wszystko wróciło do normy. Acha, zapomniałem powiedzieć, że ten, co mnie napadł też był Ukraińcem.

Koniec lata 1944 roku był bardzo smutny. Mój dziadek powoli stawał się niezdolny do pracy. Było coraz mniej rzeczy, które mógł dla nas robić, a jedną z nich była kradzież owsa, którym karmił konie. Po jakimś czasie jednak nie mógł robić i tego, gdyż zaczął pracować z ludźmi i obawiał się, że zostanie przyłapany i zaprowadzony przed oblicze władz.

Z owsem robiliśmy tak, że zalewaliśmy go wodą i suszyliśmy. Dzięki temu zboże kiełkowało i dawało się zjeść. To były trudne czasy. Wielu ludzi umierało. Moja siostra była odwodniona, a ja byłem cały opuchnięty. Mówiono wtedy, że ci którzy

przeżyją, zostaną uwolnieni, a ci którzy umrą już są wolni. Mało kto mógł powstrzymać łzy. Nawet teraz, na samą myśl o tym chce mi się płakać. Tylko trochę, bo minęło już tyle lat... Kiedyś nie byłem w stanie o tym mówić z żalu i smutku. Jednak, po latach, gdy zostało założone nasze stowarzyszenie, wspólnie postanowiliśmy, że będziemy opowiadać... Zacząłem chodzić na spotkania z Sybirakami, z młodzieżą, na różne uroczystości i jakoś się „przełamałem”...

A jeszcze przypominałem sobie, jak się tam, na zesłaniu bawiliśmy. Starsze dzieci zbudowały katapultę na czterech kołach. Katapulta wyrzucała „pociski”, a wszyscy śpiewali żołnierskie piosenki. My, młodszy, mogliśmy jedynie patrzeć jak starsi bawili się katapultą. Słuchaliśmy, jak powtarzali, że kiedyś zostaną żołnierzami i że już teraz muszą ćwiczyć strzelanie. Śpiewaliśmy taką żołnierską piosenkę, do której dopisaliśmy dodatkowe słowa, które brzmiały tak: „dadzą mi karabin, dadzą mi mausera i dwieście naboji na Hitlera”.

Jak i dlaczego zostaliście przeniesieni z Syberii nad Morze Czarne?

W 1944 kiedy wszystkie nasze ubrania były już sprzedane i nadszedł prawdziwy głód, wielu ludzi umarło. Polscy żołnierze, którzy walczyli w wojsku polskim, ale u boku Armii Czerwonej skarżyli się swoim dowódcom, że oni walczą i umierają, a ich rodziny głodują na Syberii. Wtedy to na wniosek Wandy Wasilewskiej ze Związku Patriotów Polskich, która porozumiała się ze Stalinem, obozy zaczęli wizytować sowieccy urzędnicy, którzy obiecali, że Polacy zostaną przetransportowani w cieplejsze rejony ZSRR.

Wyznaczyli nam datę i kazali się zebrać na stacji kolejowej, z której zostaliśmy wywiezieni na południe. Dali nam jedzenia na dwa dni. 4 października dotarliśmy do Chersonia.

Jak długo trwała podróż?

Nie wiem. Wydaje mi się, że około jednego

dnia, ale mogę się mylić. Gdy dojechaliśmy na miejsce zobaczyliśmy lato. Pomidory w ogrodach, warzywa, buraki, melony i arbuzy.

Czy tam były lepsze warunki?

Oczywiście. Było dużo lepiej, bo to był region rolniczy i można było tam uprawiać wszystko. Ponadto Ukraińcy byli dla nas bardzo mili. Przez parę pierwszych dni dawali nam swoje własne jedzenie. Mieliśmy razem pracować, więc zapraszali nas do siebie. Bawiłem się z ukraińskimi dziećmi i nawet jak się o coś - od czasu do czasu - pokłóciliśmy, nigdy nie szło o naszą narodowość. Mieszkaliśmy w sowchozie, ale ilość pożywienia jaką dostawaliśmy, była wciąż bardzo mała, więc Ukraińcy nauczyli nas jak kraść. Było tam sporo magazynów ze zbożami, które nie posiadały dachów.

To oczywiste, że nie powinno się kraść, ale wszystko odbywało się w porozumieniu z innymi. Stróżami w magazynie było dwóch Kozaków, którzy byli bardzo odważni, którzy o niczym nikomu nie mówili, bo ci, którzy należeli do Partii mogliby poskarżyć się lokalnym władzom. Zamiast tego, Kozacy pomagali nam pakować zboże do toreb. Znajdowaliśmy się na stepie, którego nikt nie uprawiał, chociaż ziemia była żyzna. Żyło tam wiele zwierząt: zające, żmije, jeże. Ukraińscy chłopcy opowiadali, że żyły w nim wodne nimfy. Litwini mówili na nie świtezianki, a Polacy rusałki. Były to naprawdę miłe dziewczęta. Podchodziły podobno do chłopców i pytały: co wolicie, piołun czy miętę? Gdy odpowiedzieli, że miętę, zabierały ich ze sobą na dno jeziora, ale jak wybrali piołun - zostawiały ich w spokoju.

Czy wierzył Pan w te legendy?

Nigdy żadnej nimfy nie spotkałem, ale wierzę, że istnieją. A skoro już jesteśmy przy mięcie, to jest takie powiedzenie, że na przykład: „Franek czuje miętę do Ani” i wydaje mi się, że pochodzi ono właśnie stąd, z tej legendy. Latem chodziliśmy do przedszkola, w którym wychowawczynie dawała nam jeść i uczyła, jak się zachować.

To znaczy, że mieliście tam jakąś edukację?

Nie pamiętam, czy była tam szkoła i nie pamiętam, czy Ukraińcy do jakiejś chodzili. Spędziliśmy tam całą zimę, ale nikt nigdy nie wspomniał o szkole. Nie, nie. Na Ukrainie nie było żadnych szkół. Nawet te starsze dzieci całe dni spędzały na zabawie z nami. Kuchnię mieliśmy glinianą, tak samo jak na Syberii. Jesienią wiały silne wiatry, ponieważ na stepach nie ma drzew. Wszystko porastały chwasty i te wiatry wyrwały je i zbijały w takie kupy, którymi później paliliśmy w piecu. Chciałbym jeszcze dodać, że na Ukrainie jak w Rosji spotkaliśmy wielu inteligentnych, mieszkających tam ludzi.

Czy wszyscy z Pana rodziny przeżyli?

Niestety, nie. Wuj Piotr zginął w bitwie pod Lenino. Lenino teraz leży na Białorusi, a kiedyś to wszystko był Związek Radziecki. Ta bitwa to była pułapka. Rosyjscy oficerowie nakazali naszym żołnierzom, pod dowództwem Zygmunta Berlinga, zaatakować Niemców. Obiecali wsparcie ich czołgów, artylerii i samolotów, ale tego nie zrobili. Około 1300 żołnierzy zginęło w ciągu dwóch dni walk.

Wrócił Pan z zesłania w lipcu 1945 roku. Kiedy to było dokładnie? Wróciłem 25 lipca.

Czyli świętował Pan swoje 9 urodziny, 28 lipca, w Polsce? Tak.

Po tych wszystkich cierpieniach, bólu i głodzie, co by Pan chciał przekazać młodemu pokoleniu?

Wojna to okropna rzecz. Wojna to przeszłość i nie ma sensu nienawiść do Rosjan, Niemców, czy Ukraińców... Ostatnio mówi się o wojnie z Rosją, ale to jest okropne. Nie warto. Współcześni młodzi nie szanują pokoju i rwą się do walki. Nie warto. Ci, którzy walczyli kiedyś, wiedzą o tym najlepiej.



Wieża strażnicza
Muzeum Sybiraków w Szymbarku



Zesłańcy



Transport zesłańców



Ziemianka - w takich mieszkali zesłańcy
Muzeum Sybiraków w Szymbarku



ZBIGNIEW KRUK

Dziękujemy, że zgodził się Pan na to spotkanie. I... miło Pana widzieć w dobrej kondycji.

A... dziękuję. Choruję, trudno mi chodzić, mam problemy z nerkami i z sercem, ale wciąż żyję, już 92 lata! (śmiech)

Napisał Pan książkę o swojej przeszłości. Jaki był powód jej powstania?

Chciałem podzielić się z młodymi swoją historią, by nie została zapomniana.

Co było najtrudniejsze podczas pisania tej książki?

Zacząłem ją pisać jeszcze za komuny, a nie był to dobry moment na pisanie takiej książki. Wiedziałem jednak, że jak tylko zmieni się system, będę mógł tę książkę opublikować. Już wtedy miałem problemy ze wzrokiem, ale w końcu udało się ją wydać. Wiedziałem, że muszę się spieszyć. Moi przyjaciele już odeszli, a ja jestem ostatnią żyjącą osobą z mojego obozu.

Dowiedzieliśmy się z Pana książki, że został Pan w 1944 roku aresztowany i zesłany na Syberię za to, że był Pan partyzantem. Proszę nam o tym opowiedzieć.

My w Polsce, mówimy o tym okresie „druga okupacja sowiecka”. Kiedy wojska radzieckie do nas weszły, zaczęły się aresztowania wszystkich, którzy walczyli w Armii Krajowej. Pewnego wieczoru, milicjanci przyjechali do naszej wioski, żeby zaaresztować 8 osób. Zaczęliśmy do nich strzelać, ci przestraszyli się i uciekli, nie aresztując nikogo.

Na początku listopada 1944 roku zachorowałem i byłem w domu mojej ciotki, która się mną zajmowała. 3 listopada, w nocy, usłyszeliśmy pukanie w okno. Moja ciotka krzyknęła, że przyszli Rosjanie. Ukryłem się w piwnicy razem z moim wujem, ale radziecki oficer znalazł nas i kazał wyjść. mierząc do nas z pistoletu.

Szukali w domu broni, ale nic nie znaleźli, bo dobrze ją ukryliśmy. Takie akcje działały się jeszcze w kilku okolicznych wioskach. Wielu ludzi zostało tej nocy aresztowanych, między innymi ja i dwóch moich wujów. Zostaliśmy zawiezieni do Zamościa. Na ulicy Radzieckiej w Zamościu znajdowało się biuro NKWD (Narodnyj Komissariat Wnutriennych Dieł (ros.), Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych (pol.)) i tam zamknięto nas w piwnicy. Nad ranem zabrano mnie i mojego wuja do drewnianego baraku, gdzie czekało na nas trzech oficerów NKWD. Wypytywali mnie o moją broń, o imiona innych partyzantów i nasze działania. Odpowiedziałem im, że nigdy nie znaleźliśmy swoich prawdziwych imion, jedynie pseudonimy. Ja miałem pseudonim „Witek”. Bili mnie drewnianą pałką. Na moich oczach jedli bardzo obfite śniadanie mówiąc, że dostanę trochę, jak im powiem co chcą wiedzieć, czyli gdzie są inni i kto nami dowodził. Bili mnie po całym ciele, a jak próbowałem się bronić, zakuli mnie w kajdanki. Bili tak przez dwa dni, aż im się pałka złamała. Na koniec przyszli z bronią mówiąc, że zastrzelą mnie, bo jestem faszystą. Odpowiedziałem im, że walczyłem przeciwko armii niemieckiej. I za to zostałem pobity tak, że zemdlałem z bólu.

Zabrano mnie do więzienia, które znajdowało się w piwnicach banku. Tam mieściło się też biuro NKWD i tam urzędował wysoko postawiony radziecki oficer. Zadawał mi pytania i bił na zmianę, próbując wyciągnąć jakieś informacje. Jego ordynans zauważył, że mam porządne niemieckie buty i chciał, żebym mu je dał. Obiecywał za nie jedzenie, lepszą celę. Kiedy odmówiłem powiedział, że i tak mnie zabiją. Ja mu na to: „wtedy weźmiesz sobie te buty, a na razie są moje”.

Później były przesłuchania u prokuratora i sąd. Sądziło trzech oficerów NKWD i od razu skazali nas, mnie i moich dwóch wujów, na śmierć. Parę dni później zawieźli nas do Lwowa i wsadzili do niewielkich cel. Razem z nami było tam zamkniętych paru Rumunów, Rosjan i oczywiście Polaków. W każdej celi zamkniętych było wiele osób i nie było tam nic oprócz podłogi. Na sobie

mieliśmy tylko te ubrania, w których nas aresztowali. Nie dało się położyć, bo nie było na czym, więc spaliśmy siedząc na swoich kolanach. Każdego dnia czekałem na śmierć.

W grudniu – nie wiem, jaki to był dzień – otworzyli cele i wywołali nas wszystkich alfabetycznie. Poszedłem ze wszystkimi myśląc, że czeka mnie śmierć. Zamiast tego, komendant ogłosił, że Związek Radziecki zmienił nam karę śmierci na 10 lat w obozie pracy.

Przeniesiono mnie do innej celi na pierwszym piętrze. Byli tam ze mną inni więźniowie, między innymi radzieccy żołnierze. I znowu chcieli mi zabrać moje niemieckie buty. Powiedzieli, że jak przyjdzie co do czego, to zabiorą mi je siłą.

Zostaliśmy zbadani przez lekarzy. Mój wuj, jako że miał problemy z sercem, został w celi, natomiast mnie zaprowadzono do pociągu. Nie miałem pojęcia, dokąd pojedę... Zostałem zamknięty w bydłowym wagonie razem z 40 innymi osobami. Znajdowało się tam małe palenisko, a w podłodze była dziura służąca za toaletę. Tak przewieziono nas ze Lwowa do Charkowa.

Co się wydarzyło w Charkowie?

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, w Charkowie było minus 30 stopni. Przez półtorej godziny staliśmy pod bramą. Niektórzy nie wytrzymali i zaczęli mdleć. Otworzono wrota i umieszczono nas w wielkiej piwnicy. Znowu było za mało miejsca i goła podłoga.

Nakazano nam wziąć prysznic. Następnie umieszczono nas na strychu budynku niemal bez dachu, w którym było bardzo zimno. Tuliliśmy się do siebie by się ogrzać. Wiele osób umarło...

Po trzech dniach znowu wsadzono nas do pociągu. Na każdej stacji pociąg zatrzymywał się i wtedy dostawaliśmy trochę wrzątku. Wiedziałem już, że jadę na Syberię. W miejscowości Gorki wyładowano nas i znowu nakazano wziąć prysznic. Z łaźni z powrotem do wagonów i wywieźli nas prosto do Peczory.

Jak wyglądało wasze jedzenie?

Cały czas było to samo: rozmiękczony kukurydziany chleb i gorąca woda. Dali nam 30 kg tego chleba. Niemal nie dało się tego jeść.

Jak długo jechaliście do Peczory?

Podróż zajęła parę dni. Co jakiś czas zatrzymywaliśmy się na pustkowiu, by wyrzucić zamarznięte trupy. Było przeraźliwie zimno. Ludzie tulili się do siebie, żeby się ogrzać. Ci na samym dole umierali, bo nie mogli oddychać. Ci na górze – z zimna.

Czy radzieccy żołnierze używali przemocy?

Mieli takie narzędzie podobne do młotka. Używali go, by sprawdzić kto jeszcze żyje. Czasem bili nim i nas.

Czy pańskie zdrowie ucierpiało w czasie transportu?

Nie wiem czemu, ale cały spuchłem, razem z oczami. Nic nie widziałem i nie mogłem się podnieść.

Co się stało po przyjeździe do Peczory?

Otworzyli drzwi – musieliśmy sobie pomagać, żeby wyjść z wagonu. Byliśmy wszyscy strasznie osłabieni. Kiedy tak staliśmy, podszedł do nas elegancko ubrany mężczyzna i po polsku powiedział do mnie i moich dwóch kolegów, żebyśmy wrócili do wagonu i na niego poczekał, że zabierze nas do obozowego szpitala. Pozostałych więźniów, po selekcji, strażnicy odprowadzili prosto do obozu. Wróciliśmy do najbliższego wagonu, w którym znajdowały się same kobiety i siedliśmy w kącie. Elegan szukał nas i myślał, że uciekliśmy. Jak mogliśmy to zrobić, skoro nawet nie byliśmy w stanie chodzić? Po jakimś czasie znalazł nas i zabrał do pociągu. Tym razem był to wagon osobowy, ale

z powybijanymi oknami. Było w nim też bardzo zimno. Pilnowało nas dwóch żołnierzy, którzy siedzieli przy piecyku. Chciałem położyć się na górnej pryczy, jednak byłem zbyt słaby, by tam wejść.

Dokąd pojechaliście?

Tak dojechaliśmy do Koczmesu. Po lewej stronie znajdował się obóz nr 3, po prawej był szpital. Wszystko ogrodzone było drutem kolczastym i otoczone wieżyczkami strażniczymi, zupełnie jak w niemieckich obozach. Na wieżyczkach stali żołnierze z bronią gotową do strzału. Staliśmy pół godziny na mrozie oczekując, aż otworzą nam bramę. Ledwo mogłem chodzić, więc koledzy musieli wepchnąć mnie do baraku. Kazali nam rozebrać się do naga, a fryzjer ogolił nam głowy na łyso.

Następnie musieliśmy pobiec do innego budynku, by zobaczyć się z lekarzem – nadzy, bez butów, po śniegu i na mrozie. Tam dano nam cieplejsze ubrania i miejsce do spania – 3 osoby na dolnej pryczy, dwie na górnej. Spędziłem tam 10 miesięcy – byłem zbyt słaby i schorowany, żeby pracować.

Warto wspomnieć, że w obozie pracowało kilku lekarzy, którzy byli na zesłaniu (głównie z Moskwy i Leningradu). Zajmował się mną właśnie jeden z nich. Zabrał mnie do izolatki, gdzie spędziłem parę miesięcy. Leczył mnie jakąś niebieską ciecżą, nie wiem co to było. Nie mogłem nic jeść. Cały czas w szpitalu siedział przy mnie strażnik, był Łotyszem, albo Estończykiem. Chował w szafce dla mnie chleb. Nie mogłem jeść, ale on mówił, że kiedyś będę tego potrzebował.

Co się stało gdy Pan wyzdrowiał?

Gdy było mi trochę lepiej, zabrano mnie i mojego przyjaciela do pracy w szpitalnej kuchni. Kroiliśmy mięso reniferów i jedliśmy surowy szpik z kości. Kucharz gotował zupę z kukurydzy i czasem zasypiał przy palenisku. W tajemnicy podkradaliśmy tę zupę i jedliśmy z innymi. Pewnego razu pojawiła się na stole surowa ryba, którą

ukradłem i dałem przyjacielowi. Ten próbował upiec ją na palenisku i został złapany. Dowiedzieli się, że to ja ukradłem tę rybę i za to wyrzucili mnie z kuchni.

Następną pracę miałem w pobliskim lesie. Wozilem na saniach drewno z lasu do obozu. Pracowałem tam z człowiekiem z moich rodzinnych stron. Jeden z nas ciągnął sanie, a drugi popychał. Las znajdował się 8 km od obozu. Musieliśmy tam dojść, załadować drewno na sanie i wrócić do obozu. Musieliśmy to robić 2 razy przed obiadem i raz po obiedzie. Każdego dnia.

Przez tę pracę byłem bardzo osłabiony i raz straciłem z zimna przytomność. Jako że nie mogłem się ruszać, zabrano mnie do innego baraku, w którym były trochę lepsze warunki.

Stamtąd ludzie byli często zabierani do najbardziej wysuniętych na północ rejonów Rosji. Jednak w uwagi na moją gorączkę, wysłano mnie do obozu nr 3, zaraz obok szpitala. Stamtąd zostałem przeniesiony do obozu nr 10. Ten był również otoczony drutem, a strażnicy stali na każdym rogu. Tutaj więźniami były prawie same kobiety. Razem mieliśmy budować linię kolejową prowadzącą aż za Ural. Co 6 miesięcy przenoszono nas do innego obozu.

Jak radził Pan sobie z niskimi temperaturami?

W zimie temperatura spadała do -56 stopni. Musieliśmy nosić maski i rękawice by wytrzymać. Nie można było stać w jednym miejscu zbyt długo, więc musieliśmy się ruszać podczas kopania. Ziemia była zmarznięta, więc równie dobrze mogliśmy kopać w kamieniu. Tylko przez 3 miesiące w roku było stosunkowo ciepło. Te trzy miesiące były dla nas jak cała wiosna, lato i jesień.

Jak wyglądało współzycie między więźniami? Czy konkurowaliście ze sobą, czy staraliście się sobie pomagać?

Miałem przewagę nad innymi, ponieważ

potrafiłem mówić po rosyjsku. Byłem też najmłodszy.

Miałem kolegę, z którym chciałem współpracować. Stał tam budynek, do połowy zakopany w ziemię, w którym trzymano świnie. Pewnego razu zakradliśmy się tam i gdy żaden strażnik nie patrzył, podjadaliśmy świniom kukurydzę.

Innym razem jeden z radzieckich żołnierzy powiedział do mnie: „Misza! (nie mówili mi po imieniu, nazywali mnie Misza), chcesz spróbować zupy z kurczaka? Chodź!” Poszedłem więc za nimi. Stało tam już paru strażników. Gdy spróbowałem zupy powiedzieli mi, że ta zupa wcale nie była z kurczaka, tylko z psa.

Czy pamięta Pan inne interesujące historie o więźniach?

W obozach znajdowało się wielu bandytów. Konkurowali między sobą i znajdowali się w pewnego rodzaju hierarchii. Pamiętam, że jeden z tych bandytów urodził się w obozie i spędził w nim całe życie. Wszyscy się go bali. Dostawał dodatkowe jedzenie w kuchni i w ogóle nie musiał pracować.

Gdy pracowałem w górach Ural, temperatura potrafiła spadać do -50 stopni. Dostaliśmy więc specjalne, ocieplane buty, na które mówili walonki. Pewnego dnia postanowiłem je zdjąć i wysuszyć przy ogniu. Następnego poranka nie mogłem ich nigdzie znaleźć. Bandyta, o którym wspomniałem wcześniej, zapytał mnie: „Czego szukasz, Misza?” Gdy mu powiedziałem, że szukam swoich butów, ten obiecał, że się zajmie tą sprawą. Po godzinie moje buty były tam, gdzie je zostawiłem. Tak bardzo wszyscy się go bali.

Czy próbował Pan kiedyś uciekać?

Osobiście nie, ale w 1947 roku w kilku obozach wybuchły bunty więźniów. W czasie tych rebelii, wielu więźniów zostało zabitych przez żołnierzy. Ucieczki były niezwykle ryzykowne, ponieważ okoliczni mieszkańcy dostawali jedzenie, cukier i inne rzeczy w zamian za to, że na nas donosili. Pon-

Ponadto obozy znajdowały się na zupełnym pustkowiu, więc nie za bardzo mieliśmy gdzie uciekać.

Czy był Pan świadomy tego, jaki jest miesiąc, tydzień, dzień tygodnia?

Nie, nie miałem zielonego pojęcia.

Czy miał Pan choć odrobinę wolnego czasu?

(Śmiech) Musieliśmy pracować po 14 godzin dziennie. Następnie kładliśmy się na prycze, odpoczywaliśmy i wspominaliśmy nasze dzieciństwo... Zwykle to, jak nasze mamy gotowały, jak to było dobrze w rodzinnym domu.

Co się działo w czasie tych cieplejszych miesięcy?

W czasie cieplejszych miesięcy topniał śnieg. My pracowaliśmy, a kobiety przebierały ziemniaki. Wielu więźniów im pomagało, za co dostawali po kilka. Byli tam strażnicy, ale najwidoczniej im to nie przeszkadzało, więc pomyślałem sobie, że też mogę zdobyć kilka ziemniaków, a później je upiec. Kobieta, która tam pracowała dała mi najładniejszego ziemniaka, jakiego znalazła. Schowałem go za koszulę, ale niestety, przyuważył to strażnik.

Przystawił mi pistolet do piersi i zaczął krzyczeć, że mnie zastrzeli. Kazał mi się położyć w kałuży topniejącego śniegu i błota, cały czas mi grożąc. Musiałem tak leżeć przez godzinę, aż przyszedł drugi strażnik i mnie wypuścił.

Czy to był najgorszy moment, czy były gorsze?

Przeżyłem wiele trudnych momentów, szczególnie gdy próbowałem zdobyć pożywienie. Byłem jednak najmłodszy, spokojny i zawsze próbowałem pocieszać swojego wuja i przyjaciół. Nie sądziłem, że będą próbowali mnie zabić. Nie

mieli powodów, bo nic niedozwolonego nie robiłem, nie prowokowałem.

A kiedy był Pan chory i nie mógł pracować?

Nie czułem się chory. Byłem młody, miałem 18 lat. Nie zdawałem sobie sprawy z powagi sytuacji.

Czy obchodziliście Święta Bożego Narodzenia albo Wielkanoc?

Nie, nie obchodziliśmy. Pamiętam tylko jedną sytuację, gdy do obozu zawitał ksiądz. Pracowałem wtedy w kopalni. Możliwe, że było to Boże Narodzenie, bo łamaliśmy się chlebem.

Jak wyglądała praca w kopalni?

Miałem trochę szczęścia, bo przed wojną uczyłem się w liceum. Byłem młody, wykształcony i mówiłem po rosyjsku. Nie pracowałem fizycznie. Poszedłem na kurs elektromechanika i pracowałem przy obsłudze windy w kopalni. Ja i dwie kobiety pracowaliśmy na zmiany. Te kobiety czasem przynosiły placki, które chowały dla mnie w szafce. Nie wiem czemu, ale nigdy ich nie jadłem. Nie to, że się bałem, po prostu ich nie jadłem.

Czy może Pan opisać dzień, w którym okazało się, że jest Pan wolnym człowiekiem?

Po śmierci Stalina, warunki w obozach stały się lepsze. W maju 1953 roku, przyszedł do mnie oficer NKWD i powiedział, że dostał dokumenty z Moskwy i że jestem wolny. Miałem oddać mój materac, poduszkę i koc. Zamówiłem walizkę zrobioną z materiałów, które mieliśmy na miejscu. Mam ją do dziś, leży u mojego syna, Sylwestra. Przygotowania do wyjazdu trwały parę dni. Nie miałem już swojego łóżka, musiałem więc spać u innych.

Otworzyli mi bramę i wypuścili, ale nakazali, bym nie mieszkał dalej niż 8 km od obozu. Ponadto

musiałem dwa razy w miesiącu meldować się w biurze NKWD w Incie.

Gdzie Pan mieszkał w tamtym czasie?

Pracowałem w tej samej kopalni co wcześniej, ale już jako wolny człowiek. Dostawałem 900 rubli miesięcznie i mieszkałem w budynku zaraz za obozem. Za mieszkanie musiałem płacić. Bardzo chciałem wrócić do Polski, napisałem więc list to polskiej ambasady. Po 8 miesiącach przysłali mi z Moskwy paszport, ale wciąż musiałem czekać na radziecką wizę. W tym czasie sowieci zaczęli zamykać obozy. Wiele osób mogło wrócić już do swoich domów. Niektórzy jednak postanowili zostać.

W końcu udało się Panu wrócić do domu, do Polski?

Tak, kiedy wróciłem do Polski musiałem stawić się w odpowiednim urzędzie, zajmującym się ludźmi, którzy wrócili z Syberii. Dostałem ubrania, pieniądze i bilet do dowolnego miejsca w kraju. Wróciłem do ojczyzny 13 grudnia 1955 roku, a w 1956 przyjechałem do Zamościa. Kontynuowałem naukę i zacząłem pracę jako elektryk. Byłem wolnym człowiekiem do czasu, aż poznałem swoją żonę (śmiech). Mam troje dzieci i mnóstwo wnuków.

Czy pamięta Pan cokolwiek dobrego z Syberii?

Coś dobrego? Tysiące ludzi umarło w tych obozach. Zamarznięci ludzie, mróz. Jedyną przyjemną rzeczą jaką pamiętam jest widok kwitnących kwiatów, kiedy wiosną topniał śnieg... Może polubiłbym to miejsce, gdybym był wolny. Zorze polarne też były przepiękne.

Ostatnie pytanie – co trzymało Pana przy życiu?

Nadzieja. I to, że jestem Polakiem (śmiech).



Praca zesłańców w kopalni



Zbigniew Kruk - Inta 1954 r.

Союз Обществ Красного Креста и Красного Полумесяца
СССР

10

ПОЧТОВАЯ КАРТОЧКА
Carte postale

Кому (Destinataire) *Крук Евгения*

Куда (Adresse) *Томия*
(страны, города, улицы, № дома, округ, село, деревня)
Замосць ул. Лобачинская № 51 Союз Люблин

Отправитель (Expéditeur) *Матрона 51 Инта*

Фамилия и имя отправителя
Nom de l'expéditeur *Крук Збигнев Юзефович*

Почтовый адрес отправителя
Adresse de l'expéditeur *СССР
Москва № 5110/51*

Союз Обществ Красного Креста и Красного Полумесяца
СССР

ПОЧТОВАЯ КАРТОЧКА
Carte postale

Кому (Destinataire) *Крук Збигнев Юзефович*

Куда (Adresse) *С.С. С.Р. Москва 8*
(страны, города, улицы, № дома, округ, село, деревня)
№/к 5110/51

Отправитель (Expéditeur) *Крук Евгения*

Фамилия и имя
Nom de l'expéditeur *Golska - m. Zamajc*

Почтовый адрес отправителя
Adresse de l'expéditeur *М. Сталина 51 №/к Lublin*

Prête d'écrire sur carte postale, autrement ces lettres ne seront pas remises au destinataire.
Lettre au verso.

Kartka pocztowa, którą Zbigniew Kruk wysłał do matki, Eugenii Kruk z Inty. Maj 1954 r.



WERONIKA CYBULSKA

Jak się Pani czuje? Jak spędza Pani czas na emeryturze?

Jak się czuję? Bardzo dobrze. Wcześniej pracowałam jako przełożona pielęgniarek w szpitalu. Na emeryturze jestem od 22 lat, z czego 20 spędziłam we Włoszech. Teraz, ze względu na stan zdrowia, osiadłam już w Polsce. Mieszkam w Biłgoraju, ale często przyjeżdżam do Zamościa, żeby spotkać się z panią Basią Szleszyńską i innymi Sybirakami. Jednym słowem, jestem jeszcze młoda (śmiech), bo mam dopiero 82 lata, a emeryturę spędzam aktywnie i nie siedzę w miejscu.

Czy dużo czasu spędza Pani z rodziną i przyjaciółmi?

Tak, bardzo dużo. Mam troje dzieci - wszystkie mają wyższe wykształcenie, ośmioro wnucząt oraz wielu znajomych tu w Polsce i we Włoszech. Mam też rodzinę, która mieszka w okolicach Wilna na Litwie i w Mińsku, na Białorusi.

Poznaliśmy Pani krótką notę biograficzną z której wynika, że dzieciństwo spędziła Pani w Mołodecznie. Czy mogłaby nam Pani o tym opowiedzieć?

Dzieciństwo miałam bardzo przyjemnie. Urodziłam się w 1936 r. Rodzice moi mieli w Mołodecznie duży majątek: ziemię, las i dworek. Tatuś był człowiekiem wykształconym, był leśniczym. Kiedy poznał mamę miał 22 lata, a ona 16. I mimo że było to małżeństwo z tak zwanej „konjugacji rodzin szlacheckich” (zadecydowali o nim rodzice, a nie dzieci), to bardzo się kochali. Mama urodziła czwórkę dzieci: dwóch chłopców, mnie i moją siostrę. Tata razem ze swoimi pracownikami zajmował się leśnictwem, a o ziemię dbał zarządca. Babcia i mama zajmowały się prowadzeniem domu i dziećmi. Najwyżej w hierarchii stała babcia, kobieta bardzo dystyngowana. Z opowiadań rodziców wiem, że często były organizowane u nas polowania, na których bywali politycy, wysocy urzędnicy, a nawet sam Ignacy Mościcki. Nasze lasy

były pełne zwierzyny i naturalnego piękna, więc każde polowanie było wydarzeniem. Po polowaniach wszyscy uczestnicy przyjeżdżali do naszego dworku na przyjęcie i bigos myśliwski, który przygotowywała babcia... Do wybuchu wojny, a nawet i później, nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że Rosjanie mogą Polaków stąd deportować.

Co stało się po wybuchu wojny?

Pewnego dnia przyjechał do nas znajomy sędzia, który zaczął namawiać mojego ojca do opuszczenia Polski. „- Słuchaj Kostek, cała moja rodzina wyjechała do Szwajcarii i tobie zalecam to samo. Ja nie jadę - nie zostawię majątku, ale mówię ci, jeżeli oni do mnie zapukają, to ja... popełnię samobójstwo.”- powiedział. Mój tata stwierdził, że to niemożliwe, żeby polskim rodzinom groziło coś ze strony Rosjan.

A on na to: „-Ja wiem, co mówię, ciebie może nie zabiorą, ale mnie - na pewno...” No i tak się stało. W nocy z 9 na 10 lutego o godzinie 2.00 Rosjanie zastukali i weszli do wszystkich domów w okolicy. Zjawili się również u sędziego, który - tak jak zapowiedział - zastrzelił się. Przyszli i do nas. Ojca posadzili na krześle i zabronili mu się ruszać, a mamie powiedzieli, że ma dwie godziny na spakowanie 20 kilogramów bagażu dla całej rodziny, ponieważ zostaną wywiezieni.

Mama była bardzo słaba, bo 6 tygodni wcześniej urodziła dziecko. Spytała żołnierza, czy muszą ich wywozić właśnie teraz, kiedy ona jest po porożu? Młody żołnierz powiedział, żeby się pakowała, bez dyskusji, bo pojedą bardzo daleko, gdzie będzie bardzo zimno i żeby zabierała tylko ciepłe rzeczy. Dodał również, że warto ze sobą zabrać kaszę, mąkę, cukier i sól, najwięcej jak się da. Kiedy zobaczył pakującą się babcie, stwierdził, że ona - nie pojedzie. „-My pani nie weźmiemy, bo pani tej drogi nie wytrzyma. Umrze pani, a my będziemy musieli wyrzucić ciało z pociągu”.

Co działo się dalej?

Wsadzili nas do bydłowego wagonu, w którym było pięć rodzin. Każdy dostał swój mały kącik. W rogu wagonu była mała dziura przeznaczona do załatwiania się oraz wiadro do oddawania moczu.

Na środku stał mały blaszany piec na drewno, w którym cały czas trzeba było palić. Staliśmy na stacji w Mołodiecznie ponad tydzień, po czym wyruszyliśmy w prawie 4-miesięczną podróż, którą pokonaliśmy w nieludzkich warunkach. Gdy zajechaliśmy na miejsce, była już wiosna. Dotarliśmy aż za Nowosybirsk - obszar pomiędzy Chinami a Mongolią. Przejechaliśmy w sumie 9 tysięcy kilometrów!

Jak dawaliście sobie radę w pociągu przez te 4 miesiące?

Było tragicznie. Przede wszystkim - niewyobrażalnie zimno. Nikt nie był na to przygotowany. Ludzie starsi oraz słabsi po prostu umierali.

Przez całą drogę nie dostawaliśmy jedzenia, mieliśmy tylko to, co zdążyliśmy zabrać z domu. Raz dziennie przynosili nam wiaderko gorącej wody. Zwłoki tych, którzy nie wytrzymywali, wyrzucano na stacjach. Przez cztery miesiące ani razu nie opuściliśmy wagonu.

Jak dzieci radziły sobie w takich warunkach?

Ja miałam wtedy 4 lata i niewiele pamiętam... Z opowiadań wiem, że najtrudniej było z moją siostrą, ze względu na brak mleka. Była tylko woda. Rodzice nie myśleli, że to małe dziecko przeżyje.

Co się wydarzyło, kiedy dojechaliście do Nowosybirsk?

Wysadzono nas z pociągów, po czym przebyliśmy 100 km ciężarówkami, a kolejne 60 km płynęliśmy łódkami. Po jakimś czasie dotarliśmy na miejsce, gdzie zastaliśmy baraki.

Baraki były bardzo duże, a do ich ogrzewania służyły piece zwane przez nas „kozami”. Od razu nas rozmieszczono, urządzono i zorganizowano spotkanie z komendantem obozu, który powiedział: „-Wszyscy ludzie idą do pracy i starzy, i młodzi, bez wyjątków. Kto nie pracuje, ten nie je!”

Czy może Pani opisać, jak wyglądała rzeczywistość w Nowosybirsku?

Dzieci zdolne do pracy tworzyły razem z matkami grupy, a dorośli mężczyźni pracowali sami. Każda grupa oraz mężczyzna dostawali działkę, na której musieli ścinać drzewa, okorować je i spuścić w dół, ponieważ wszystkie działki były na wzgórzu. Nie było żadnych szkół, żadnego lekarza. Kto zachorował, był zdany sam na siebie. Umarł to umarł, żył to żył. Tatuś miał swoją oddzielną działkę, mama zaś miała razem z moimi braćmi inną. Musieli oni ścinać drzewa, a gałęzie z drzew zanosić jeszcze wyżej, gdzie palono ogniska. Miejsca karczowane były ogołoczone z drzew. Okorowane i pocięte na odpowiednią długość drzewa, splawiano w dół rzeki. Zimy były bardzo surowe, temperatura dochodziła nawet do -75 stopni. Polacy nie byli przystosowani do takich warunków, nie byli przygotowani. Ludzie odmrażali stopy, ręce, zamarzali... prawdziwa katorga.

Jakie były racje żywnościowe za tak ciężką pracę?

Na początku każdy miał jeszcze swoje jedzenie z pociągu, ale po jakimś czasie zaczęło go brakować.

Przydzielanie racji żywnościowych działało w systemie „kto nie pracuje ten nie je”, czyli osoby, które wykarczowały swoją działkę, otrzymywały za wykonaną pracę 80 dkg chleba. Dla dzieci nie było chleba, ponieważ zgodnie z zasadą „kto nie pracuje ten nie je”, im się nic nie należało.

Najlepiej na tym wychodziła moja rodzina, ponieważ tata był leśniczym i wiedział o drzewach i lasach wszystko. Wiedział, jak karczować oraz jak

używać narzędzi, w przeciwieństwie do reszty deportowanych, którzy z pracą fizyczną nigdy nie mieli do czynienia. Sami profesorowie, urzędnicy i inni wykształceni ludzie... Nie dawali sobie rady, nie wypracowywali normy i dostawali małe racje żywnościowe. Oni głodowali. To była dla nich tragedia.

Czy w przypadku ścięcia większej ilości drewna, racje żywnościowe były zwiększane?

Każdy bał się ścinać więcej drzew niż trzeba! Obawiali się, że jeżeli wycięliby więcej, to następnego dnia mieliby zwiększoną normę i większą działkę do obrobienia. Nikt nie wierzył, że dostaliby za to więcej jedzenia.

Czy coś się zmieniło w obozie po ataku Niemiec na Rosję?

Po tym, jak Niemcy zaatakowały Rosję, było bardzo źle, wręcz tragicznie. Całe jedzenie szło na front, więc nie było ani soli, ani cukru, brakowało mąki, dlatego obcięli nam racje żywnościowe. Ludzie umierali, proszę mi wierzyć, nie wytrzymywali, popełniali samobójstwa.

W desperackim głodzie zbierali i jedli muchomory, a nawet dawali je swoim głodnym dzieciom, ponieważ nie mogli patrzeć na ich cierpienie. Wszyscy byli wychudzeni, opuchnięci oraz wycieńczeni od morderczej pracy.

Jak wyglądały relacje wewnątrz rodzin oraz pomiędzy rodzinami?

W godzinie największej próby rodziny zbliżały się do siebie, powiem więcej - wszyscy Polacy pomagali sobie nawzajem, ale często nie było po prostu jak.

Mój tata jak mógł pomagał innym, np. gdy ktoś nie miał siły, żeby wypracować normę, a miał działkę obok niego, ścinał drzewa też na jego działce. Pomagał, ale też uczył jak dawać sobie radę w tych ciężkich warunkach.

Czy mogłaby Pani opowiedzieć, jaki był klimat tajgi?

Tajga to głównie lasy, przeróżne, chyba wszystkie rodzaje drzew i zwierząt tam widziałam. To miejsce idealne na wakacje, ale nie, żeby tam pracować. My znajdowaliśmy się na takiej jakby wyspie otoczonej ze wszystkich stron wodą i lasami, tak usytuowanej, żeby łatwo było tam dotrzeć i spławiać drzewa, ale trudno stamtąd wyjechać. Temperatury potrafiły osiągać nawet -75 stopni. Ale i tak prawdziwa makabra zaczynała się w lecie, bo wtedy cały teren zamieniał się w bagno. Prawdziwą zmorą były małe muszki od których ciężko było się odgonić. Wchodziły wszędzie: do buzi, w oczy, w uszy, do nosa, gryzły odsłonięte ciało... Trzeba było chodzić w chustkach. Ludzie często chorowali na zapalenie oczu, którego potem nie dało się wyleczyć.

Jakie ma Pani najgorsze wspomnienie z pobytu w Nowosybirsku?

To był rok 1942. Jedzenia już prawie nie było, ludzie byli tak wycieńczeni, że nie mogli już pracować. Nawet moi rodzice nie liczyli na to, że przeżyjemy. I wtedy wydarzyło się to najgorsze. Mój tata pracował jak co dzień - przygotowywał drzewo do spławienia po rynnie przygotowanej dla wszystkich pracowników. Jacyś ludzie, którzy pracowali nad nim, krzyczeli, że zaczynają spławiać drewno. Hałas był tak duży, że tego nie usłyszał. Zaczął spuszczać swoje drewno nie słysząc, że ktoś nad nim również to robi. Drzewo przygniotło go i ciągnęło ponad 20 metrów w dół. Wszyscy rzucili się, żeby go ratować. Udało się, ale był bardzo poturbowany.

Mama wzięła mnie na ręce i pobiegłyśmy do taty, żeby się z nim pożegnać, bo myślałyśmy, że tego wypadku nie przeżyje. Moi bracia oraz jeden z Polaków zabrali go na łódkę i popłynęli do szpitala. Jakiś doktor wyszedł, popatrzył na mojego tatę i powiedział: „-Kogo mi tu przywieźliście? Trupa? Zabierajcie go”.

Przywieźli go z powrotem i położyli w domu. Moja mama nie mogła się nim zajmować, ponieważ musiała pracować. Gdyby nie pracowała nie mielibyśmy co jeść. Pamiętam, że to ja się nim zajmowałam, przynosiłam mu wodę i trzymałam za rękę, pilnowałam go. Tata powoli dochodził do siebie. Miał problemy z oddychaniem, ale po dwóch tygodniach musiał wstać i pracować, żeby dostać choćby jedną kromkę chleba. Pomagał nosić gałęzie, ponieważ na nic więcej nie miał siły. Mama oraz moi bracia karczowali na szczęście jedną, przydzieloną działkę.

Jak udało się Wam przetrwać ?

Było naprawdę ciężko, byliśmy ekstremalnie wycieńczeni. Momentem przełomowym był rok 1942. Było lato, a wszyscy pracujący mężczyźni zostali skierowani do koszenia siana. Pracowali tam przez dwa tygodnie. Któregoś dnia przyjechał do nich na koniu Rosjanin, który krzyknął: „-Polacy! Rzucajcie to wszystko i chodźcie do kantoru!”

Ludzie bali się, że to podstęp i zostaną rozstrzelani. Jednak zaufali Rosjaninowi i poszli za nim jakieś 30 km do kantoru, aby tam spotkać czekającego na nich komendanta. Ten uśmiechając się powiedział: „-No cóż mam wam powiedzieć? Jesteście teraz wolnymi ludźmi i możecie jechać, gdzie chcecie. Tylko nie za granicę”.

Wszyscy patrzyli na niego i na siebie i nie wiedzieli, czy komendant zgłupiał, czy z nich głupich robi. On wtedy dodał: „-Słuchajcie, ja wam mówię prawdę, wasz minister Sikorski podpisał układ z towarzyszem Stalinem i dał wam wolność. Jest organizowana armia polska, jeżeli chcecie, to możecie bronić ojczyzny”.

Jaka była reakcja?

Ci, którzy byli zdrowi i sprawni chcieli jak najszybciej uciekać. Ale wiele osób było samotnych, pochowali tu swoje rodziny i nie chcieli ich zostawiać. Ludzie ci mówili, że chcą tutaj umrzeć, tak samo jak ich dzieci, ojcowie i matki. Młodzi

chłopcy, powyżej 18 roku życia, zdecydowali się na dołączenie do wojska. Wśród tych przyszłych żołnierzy znalazł się także Wojciech Jaruzelski. Tak, to mój tata uczył Wojciecha Jaruzelskiego jak ścinać drzewa...

Jeżeli chodzi o Jaruzelskich to wiem, że ojciec Wojciecha zmarł na zesłaniu, a on sam wstąpił do armii zostawiając na Syberii swoją siostrę i matkę. Rosjanie proponowali wszystkim, aby zostali w Związku Radzieckim, a w szczególności mojemu tacie. Nie chcieli go puścić, ponieważ leśnik był im bardzo potrzebny.

Jednak w końcu nas puszczono. Łodzią dopłynęliśmy do Nowosybirsk, gdzie musieliśmy pożegnać się z tymi, z którymi pracowaliśmy przez długie miesiące. Pamiętam, że jeden z nich miał na imię Marian. Mój tata przekonywał go do wyjazdu, ale on się nie zgodził. Został z rodzicami i siostrą, których tu pochował.

Na stacji w Nowosybirsku proponowano nam, Polakom różne kołchozy, do których moglibyśmy pojechać, wszystkie oczywiście na terenie Rosji. Wybraliśmy ogromny kołchoz koło Omska, gdzie podobno potrzebni byli ludzie do pracy.

Jak wyglądała podróż do Omska?

W pociągu było bardzo ciasno, jeden siedział na drugim. Jechały z nami jeszcze dwie polskie rodziny: Maksymowiczów i Poźniaków.

A jeżeli chodzi o sam Omsk, to nie było tak źle. Na stację przyjechał po nas końmi kierownik kołchozu. Potem zaprosił na obiad. Pierwszy raz, od tak długiego czasu, zobaczyliśmy normalne jedzenie i ... mogliśmy jeść ile kto chciał. Ojciec i mama nakazali nam rozsądek i to wyszło wszystkim na zdrowie. Nie posłuchał ojca jego kolega, Tolek. Zjadł tak dużo, że nie wstał już od stołu. Przejedzenie przeplacił życiem.

Jak wam się żyło w Omsku?

Charakterystyczne były ziemianki, w których

mieszkaliśmy. Były one wkopane na dwa metry w ziemię i posiadały małe okienko, przez które wpadało światło. W środku stał duży, ceglany piec. Miał kuchnię do gotowania i piekarnik w którym można było coś upiec. A na górze tego pieca było duże, ciepłe miejsce do spania. Paliliśmy w tym piecu drewnem, którego mieliśmy pod dostatkiem. Niestety, nie było tam podłogi, tylko goła ziemia. Pamiętam do dziś prezent, który dostaliśmy od zarządcy kołchozu. Były to dwie kury, dla których tata zrobił specjalną zagrodę obok pieca, aby nie marzły. Dobrze traktowane i karmione kury, codziennie rano znosiły nam 2 jajka.

Co działo się dalej?

W czasie, gdy byliśmy w Omsku, werbowani byli żołnierze do polskiej armii. Mój ojciec zgłosił się, ale nie został przyjęty, ponieważ rentgen wykazał, że jedno z jego żeber wrosło w płuco. Ojciec otrzymał od lekarza to rentgenowskie zdjęcie na pamiątkę. Przydało mu się później, już w Polsce, kiedy starał się o rentę.

Jedna rzecz nas zastanawia. Rosjanie zaatakowali Polskę w 1939 roku razem z Niemcami, a teraz Polacy wstępowali do armii, żeby Rosjanom pomagać? Dlaczego?

Nie, to nie tak, proszę pamiętać, że tylko władza była podła, naród rosyjski był i jest wspaniały. Prości Rosjanie pomagali nam, a my żyjemy dzięki nim. To Stalin był zły i jego NKWD i ten ich ustrój...

Jak wyglądała praca w kołchozie?

Zarządca kołchozu bardzo polubił mojego ojca, który stał się, można tak powiedzieć, opiekunem Polaków. On sam zajmował się końmi, które zawsze bardzo lubił. Po jakimś czasie zaczął mieć problemy ze zdrowiem, narzekał na ból w boku. Przydzielono mu wtedy inne zadanie, dostarczanie benzyny dla brygad pracujących na

Zarządca był człowiekiem niezwykle miłym i życzliwym, pomagał Polakom, jak tylko mógł.

Mojego brata od razu wysłał na kurs jazdy traktorem, ponieważ brakowało traktorzystów. Wszyscy mężczyźni z kołchozu poszli przecież na wojnę. Chodził na ten kurs przez całą zimę, aby na wiosnę już jeździć traktorem. Każdy Polak miał tam pracę. Mama pracowała z trzema Polkami przy krowach.

W kołchozie była taka zasada, że gdy ktoś coś ukradł, groziło za to pięć lat więzienia. Nie ważne było, czy ukradł garść zboża, czy cały worek - nie było zlituj się. Pewnego razu moi bracia siali zboże, starszy kierował traktorem, a młodszy siedział na siewniku. Pracował z nimi starszy Rosjanin, który miał rodzinę. Głodowali. Był to już rok 1944, znowu nie było co jeść, a ludzie z głodu padali jak muchy. Rosjanin postanowił wziąć trochę zboża do woreczka i zanieść dzieciom. Było tego może kilogram, nie więcej. Akurat tego dnia na pole przyjechali żołnierze NKWD, którzy go złapali. Zbili Rosjanina i mojego starszego brata, którego posadzili o współudział. Bili go okrutnie pistoletami, nie mieli litości. Kiedy mój młodszy brat stanął w jego obronie, został uderzony pistoletem w głowę. Potem Piotrka i tego Rosjanina wpakowali do samochodu i odjechali. Młodszego brata zostawili, bo myśleli chyba, że nie żyje. Po drodze zatrzymali się w kołchozie i powiedzieli zarządcy, żeby sobie trupa z pola zabrał.

Ten szybko wskoczył na konia i pojechał po mojego brata. Zastał go leżącego we krwi, z rozbitą głową. Zabrał go do zajmującej się leczeniem Rosjanki, która była lepsza nawet od lekarzy. W ciągu dwóch tygodni postawiła go na nogi. Potem odbył się pokazowy sąd. Za „udział w kradzieży” mój 17-letni brat został skazany na 5 lat więzienia... Był tak pobity, że na rozprawę go przynieśli. Gdy mama podeszła, żeby go przywitać, żołnierz złapał ją i popchnął tak, że przeleciała przez całą salę. Krzyknął, że to wróg ludu i nie należy go żałować. Stary Rosjanin powiedział, że mój brat nic nie wiedział o kradzieży, ale żołnierze zaczęli na niego krzyczeć, żeby się zamknął. Dostał on wyrok 3 lata

i 5 miesięcy, półtora roku mniej, niż mój brat... Piotr trafił do więzienia, do którego można było dostarczać kilogramową paczkę miesięcznie. Mama suszyła ziemniaki i czosnek, aby miał tam co jeść i żeby nie chorował. Gdy mój ojciec przyjeżdżał do więzienia sam, nie wpuszczano go do syna, lecz gdy przyjeżdżał ze mną – a ja zawsze głośno płakałam – strażnik zwykle się litował.

Kiedy uwolniono Pani brata, czy wrócił do Polski?

Wrócił do Mołodeczna, ale po zmianie granic ta miejscowość nie leżała już na terytorium Polski. Tam poznał swoją żonę i tam pozostał. Aktualnie jego dzieci mieszkają w Mińsku, na Białorusi. Syn pracuje w białoruskiej telewizji, a córka jest urzędniczką. Brat już niestety nie żyje ..

Wróćmy jeszcze do wynagradzania za pracę w kołchozie i do racji żywnościowych. Proszę nam o tym opowiedzieć.

Ludzie za pracę dopiero jesienią dostawali zboże oraz ziemniaki. Nie było tego dużo, ale nie głodowaliśmy. Potem nastąpił rok 1944. Rok najgorszy, bo prawie wszyscy z kołchozu poszli na front i nie było komu pracować. My, dzieci nie chodziliśmy do kołchozu pracować, to zdobywaliśmy jedzenie w różny, inny sposób. Nie baliśmy się, bo co mogli nam zrobić? Chodziliśmy na przykład nad rzekę wyciągać z sieci i koszyków rzecznych ryby, które potem zjadaliśmy na surowo. Najlepiej jednak było w lecie, ponieważ latem kwitły słoneczniki, dzięki którym nigdy nie chodziliśmy głodni.

A jak wyglądało codzienne życie dzieci, czy były jakieś szkoły w pobliżu?

Tak, dzieci chodziły do szkoły, co było fajne, ponieważ w szkole dostawały miskę zupy na obiad, ale ja byłam za mała, żeby do nich dołączyć. Pewnego razu, gdy dzieci szły do szkoły, wstąpiły do naszego domu i mówią:

“-Wiera, chodź z nami! Wiera to Weronika po rosyjsku.”

Odpowiedziałam, że jeszcze mała jestem i brakuje mi lat. Ale w końcu z nimi poszłam. W szkole pani nauczycielka powiedziała, że ona nie może mnie uczyć, bo jestem za młoda. Wtedy dzieci zaczęły płakać i dzięki temu zgodziła się mnie przyjąć. Usadziła mnie w pierwszej ławce. Nie było jednak zeszytów, zamiast nich mieliśmy gazety, a atrament robiono z sadzy z komina zalewanej wrzątkiem. Pisało się stalówką przyczepioną do patyczka. Nauczycielka była zdziwiona, z jaką starannością pisałam kółka oraz kreski. Zapytała mnie, jak ja to robię? Odpowiedziałam jej, że bardzo się staram, żeby zasłużyć na miskę zupy. Okazałam się wzorową uczennicą. Nawet w domu wolałam ćwiczyć pisanie, niż bawić się z dziećmi, bo wiedziałam, że jutro w szkole dostanę obiad. Wkrótce pisałam najlepiej ze wszystkich w klasie. Problem stanowiły dla mnie rachunki, których potem nauczył mnie tatuś.

Jak Pani zareagowała na wiadomość, że będziecie mogli wrócić do Polski?

Ja, jak to dziecko, nie bardzo wiedziałam, co to znaczy. W tym czasie najbardziej liczyli się dla mnie koledzy, koleżanki, no i... (śmiech) miałam już „narzeczonego”. Był nim Griszka, Rosjanin. Trudno się było z nimi rozstać, ponieważ wszyscy byli niesamowicie życzliwi. Na przykład, gdy ktoś miał coś do jedzenia, kawałek chleba, jakiegoś ziemniaka, to dzielił się zawsze z innymi...

Jednak decyzję o wyjeździe utrudniała sprawa mojego brata, który miał jeszcze rok przebywać w więzieniu. Moja mama nie chciała wyjeżdżać bez niego. Wyjechaliśmy jednak, bo kierownik więzienia obiecał, że od razu, gdy brat wyjdzie, wyśle go prosto do Polski. Gdy wyjeżdżaliśmy, wszyscy zegnali nas, płakali i obiecywali, że będą pamiętać. Najsmutniejsze jednak było rozstanie z bratem.

Proszę opisać podróż do Polski.

Z Omska wyjechaliśmy 1 kwietnia, pamiętam że było bardzo zimno, -50 stopni. 26 czerwca dotarliśmy do Poznania. Na dworcu porównywaliśmy się z innymi ludźmi, którzy byli ubrani w piękne stroje, których my nigdy nie widzieliśmy. W pewnym momencie w pobliżu dworca zatrzymała się bryczka, z której wysiadła elegancka kobieta. Podeszła i zaproponowała mi chleb, na co ja odrzekłam, że dziękuję i uciekłam. Byłam głodna, ale nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Kobieta weszła do wagonu i zapytała, czyje to dziecko. Moja mama odrzekła, że jej. Kobieta spytała dlaczego tak zareagowałam? Mama na to: bo nikt jej nigdy za darmo chleba nie proponował ... Zostawiła cały bochenek dla mnie i kilka bochenków dla innych dzieci. Następnego dnia przyszła z ubraniami. Tak nas poprzebierała, że rodzice nie byli nas w stanie poznać. Zaproponowała nawet moim rodzicom, że mnie zaadoptuje, ale się nie zgodzili.

W jakiej sytuacji byli Sybiracy, którzy wrócili do Polski?

Wszyscy jechali do Wrocławia, ale z nami był pewien człowiek, który przekonał rodziców, żeby pojechali do Lublina. Na początku zamieszkaliśmy niedaleko Majdanka. Potem okazało się, że w Lublinie nie ma już mieszkań, ale są w okolicach Hrubieszowa i tam pojechaliśmy. Ważniejszą dla nas rzeczą było wtedy zdrowie naszej mamy, która była w beznadziejnym stanie. Była chora na tyfus i szkarlatynę. Zawieźliśmy ją do szpitala, ale tam nie dawali nam nadziei...

Naszą rozpacz zobaczyła pielęgniarka, która przekonała głównego lekarza, żeby się mamą zajął. Pamiętam, że ten doktor pogłaskał mnie po głowie i obiecał, że mamę wyleczy. Wyzdrowiała dopiero po 6 tygodniach. I wyobraźcie sobie, że to ta sytuacja skłoniła mnie do wyboru zawodu. To wtedy postanowiłam, że zostanę pielęgniarką i będę pomagać ludziom.

I jak było w tym Hrubieszowie?

Dobrze. Tata dostał pracę w zakładzie mięsnym, a brat w banku. Muszę powiedzieć szczerze, że rodzice, za co im do dziś dziękuję, postawili na naszą solidną edukację. Mimo iż na początku studiowałam prawo, to jednak zmieniłam kierunek na pielęgniarstwo. Ułożyłam sobie życie, mam troje wspaniałych dzieci oraz ośmioro wnuków. To, co przeżyłam w dzieciństwie wzmocniło mnie i nauczyło szacunku do ludzi, pracy i ... życia.

I pytanie ostatnie: jakiej rady udzieliłaby Pani młodemu pokoleniu?

Pamiętajcie, nie należy nigdy działać pochopnie, a podejmując ważne decyzje - zawsze trzeba je głęboko przemyśleć. Uważajcie też na politykę i polityków. Tak jak już powiedziałam wcześniej - naród rosyjski jest wspaniały, tylko nigdy nie miał szczęścia do rządzących... Jest jeszcze coś, co w życiu pomaga - to rodzina.

Jest całością, nierozzerwalną komórką. A jeżeli jest w niej równouprawnienie - matka i ojciec, którzy wspólnie podejmują decyzje, wzajemnie się kochają oraz nade wszystko kochają swoje dzieci - można wówczas pokonać największe problemy i burze.

Dziękujemy Pani bardzo, za poświęcony czas, za wspaniałą opowieść i mądre rady.



Kobiety pracujące w lesie



Model rampy z oryginalnym parowozem i wagonami.
Muzeum W Szymbarku.



Zrekonstruowane wnętrze baraku.
Muzeum w Szymbarku.



WŁADYSŁAW SITKOWSKI

Na wstępie chcielibyśmy podziękować Panu za to, że zechciał Pan nas przyjąć i z nami porozmawiać. Mamy nadzieję, że dobrze się Panu żyje.

Tak. Mieszkam tu, w Zwierzyńcu z dwoma synami, dwóch innych jest za granicą. Z moim zdrowiem nie jest najlepiej, gdyż miałem atak serca i teraz cierpię na problemy z tym związane. Teraz jest całkiem dobrze, nie potrzebuję stałej pomocy, oprócz pewnych drobnych wyjątków. Jest tu też ze mną żona. Radzimy sobie dobrze, bo jesteśmy dobrą rodziną, a rodzina sobie pomaga. Wbrew temu, co niektórzy mówią, nie można żyć bez rodziny. Rodzinna solidarność jest częścią naszego życia.

Jak wspomina Pan swoich rodziców, dzieciństwo?

Moi rodzice byli rolnikami i mieli gospodarstwo. Wyrabiali też cegły i mieli spory sad. Wiedliśmy spokojne życie i byliśmy szczęśliwi.

Czy mieli jakieś podejrzenia, że w pewnym momencie zostaną zaarrestowani i wywiezieni?

Tak, starsi to czuli, ale dzieci nie. To wydarzyło się nagle i bardzo szybko. Usłyszeliśmy tylko parę słów – że mamy spakować nasze rzeczy. Nie powiedzieli nam nawet, gdzie jedziemy. To była niespodzianka. Według niektórych statystyk, Stalin zabił w ten, bądź inny sposób około 15 milionów ludzi. Wywieźli mnie jakieś 5, albo 6 tysięcy kilometrów stąd, na Syberię, ale wojna toczyła się tutaj. Tutaj też ginęli ludzie. Tu też niedaleko znajdował się obóz, przejeżdżaliście obok niego. Ale to był obóz Hitlera, a nie Stalina.

Ile czasu mieliście by się spakować na wyjazd?

Pół godziny. Przyszli po nas, kazali się ubrać i

ić. Zapanowała wśród nas panika. To była tragedia. Tylko pół godziny, by wszystko spakować! Czasem trudno jest się obudzić w pół godziny. Wszyscy mieli jakiś dobytek, zwierzęta gospodarcze, krowy, konie, jak to zostawić? Zima była ciężka tamtego roku. Następnie zabrali nas do pociągów i zapakowali do wagonów przystosowanych do przewozu bydła, a nie ludzi. Po 30 osób na każdy wagon. Tak wywieźli nas na Syberię. Co sprytniejsi zabrali ze sobą trochę żywności, wody, ale byli też tacy, którzy nie zabrali ze sobą nic. Podróż trwała 3 tygodnie.

Czy pamięta Pan, jak sobie radził z nową sytuacją w pierwszych dniach podróży?

Byłem przerażony, nie wiedziałem co mnie spotka w przyszłości. To był dla mnie szok. Wagony były drewniane, zrobione z desek. Zima była ciężka, więc niektórzy zamierzali na śmierć. Kiedy ktoś zamarznął, Rosjanie po prostu wyrzucali jego ciało z wagonu, nie chciało im się nawet kopać grobów. Zasyrywali ciała śniegiem, a dwa dni później równali teren traktorami. Tak wyglądał komunizm Stalina.

Jak zachowywali się ludzie podczas podróży?

Wszyscy znajdowaliśmy się w tragicznej sytuacji i pomagaliśmy sobie, jak tylko mogliśmy. Byliśmy bardzo solidarni. Byliśmy jak wielka rodzina, nikt nikogo nie wyzyskiwał. Chciałeś coś dostać, musiałeś zrobić coś w zamian.

Wywieźli nas całą rodziną. Zapakowali do wagonów na całą podróż. Trzymaliśmy się tak blisko siebie, jak tylko to było możliwe.

Jak wyglądały pierwsze dni na Syberii? Wiedział Pan jak długo tam pozostaniecie?

Przez pierwsze dni mieszkaliśmy w bardzo prostych barakach i spaliśmy na prostych łózkach

zbitych z desek.

Wsiedliśmy do pociągu 10 lutego 1940 roku, a wysiedliśmy w marcu. Wywieziono tak setki tysięcy ludzi, z okolic Wilna, z okolic Lwowa.

Tam, gdzie nas zakwaterowano były takie proste, drewniane baraki. Tam nas umieścili. Było zimno, bardzo zimno. Gryzło nas jakieś robactwo, które żywiło się wyłącznie ludzką krwią.

Zimno było okropne, zwłaszcza zimowe noce. Mieliliśmy termometr na takim metrowym palu. Pewnego razu zapytałem kolegę, czy może sprawdzić temperaturę, a ten po chwili odpowiedział, że jest -57 st. C. W takich warunkach musieliśmy żyć. Z czasem przyszły choroby i ludzie zaczęli umierać. Spędziliśmy tam ponad 5 lat.

Wszystkie dzieci powyżej 10 roku życia były zmuszane do pracy. Byliśmy wysyłani do pracy przy wycinie drzew. Pracowaliśmy bardzo ciężko i musieliśmy obsługiwać wszystkie narzędzia. Nosiliśmy też ciężkie kłody, a mieliśmy dopiero po 10 lat... Jak nie pracowaliśmy, dostawaliśmy po 300 gram chleba. To było jedyne jedzenie jakie dostawaliśmy na cały dzień. Jak pracowaliśmy, dostawaliśmy po 500 gram i odrobinę zupy.

Co się stało z Pana rodziną?

Mojego ojca Rosjanie zabrali do innego obozu na Syberii, a po roku go zabili. Do dziś nie wiem co się z nim stało.

Moja matka poważnie zachorowała, zabrali ją do szpitala 25 kilometrów od obozu, w którym mieszkaliśmy. Nie powiedzieli nam o tym. Jak się dowiedziałem, postanowiłem ją odwiedzić i zanieść jej trochę chleba. Było to jesienią, ale pogoda wciąż była zimna. Postanowiłem iść na piechotę, boso, bo nie miałem żadnych butów. Biegłem przez całą drogę, bo nie chciałem zamarznąć... Moja mama cudem przeżyła, udało jej się opuścić szpital i powrócić do zdrowia.

Jak Sowieci traktowali Pana na Syberii?

Większość była podobno podła, ale może ktoś z nich był dla Pana miły?

Większość Rosjan była przyjazna, bo wielu z nich zostało zesłanych na Syberię przed II wojną światową, a inni jeszcze za cara. Syberia była, całkiem popularnym miejscem zsyłki nie tylko dla Polaków. Nie mam jakichś bardzo złych wspomnień związanych z Rosjanami. Rozumieli naszą sytuację.

Czy były takie sytuacje, w których nie dawał Pan już rady?

Tak, było takich kilka. Spotykałem się wtedy z moimi rówieśnikami i rozmawialiśmy o tym. Często jedliśmy z głodu pokrzywy...

Jak obchodziliście święta, urodziny itp. podczas pobytu na Syberii?

Staraliśmy się, jak mogliśmy, obchodzić takie święta jak Boże Narodzenie, Wigilia. Jak każdy z nas miał po ziemniaku, to można było uznać, że jest dobrze. Nie obchodziliśmy takich rzeczy jak urodziny, czy mniejsze święta.

Jak może Pan opisać swój powrót do Polski?

Pod koniec wojny pozwolono nam przenieść się w jakieś cieplejsze miejsce w okolicach Morza Czarnego. To było z dala od Syberii. 9 maja 1945 wróciliśmy do Polski.

Było jednak wiele osób, które nie mogły wrócić do Polski. Możliwe, że wciąż żyją, że mają dzieci. Całe pokolenia Polaków musiały zostać na Syberii i nie mogły wrócić. Mówimy oczywiście o członkach wielu rodzin.

Gdy wróciliśmy, zobaczyliśmy zniszczenia jakich dokonali Niemcy. Napisałem książkę o wsi Sochy, która leży 4 kilometry stąd. W 1943 roku wszyscy jej mieszkańcy zostali zamordowani za pomoc partyzantom. Wszyscy... Cała wieś zniknęła z powier-

zchni ziemi.

Jak Pan się czuł po powrocie do domu, do szkoły?

Po prostu, wróciłem do szkoły i już. To było zaraz po wojnie. Nie tak jak teraz, że chodzi się do szkoły co rok. Każdy z nas, nie tylko ci z Syberii, mieli 5 lat przerwy.

Nie chodził Pan do szkoły na Syberii?

Była tam szkoła, ale chodzili do niej tylko Rosjanie. My musieliśmy ścinać drzewa za pomocą ręcznej piły, nie mieliśmy żadnych maszyn. To była szkoła życia – naga i brutalna.

Czy próbował Pan wrócić do swojego staroego domu, do Stasina na Wołyniu?

Nic tam już nie było. Cała wioska została wymordowana, prawie wszystkie wsie zniknęły. Pojawili się tam Ukraińcy i nikt nie czekał na Polaków.

Jak wyglądało Pana życie po przyjeździe do Zamościa?

Przydzielono nam mieszkanie, potem poszedłem do szkoły zawodowej. Prawie wszystkim udało się wrócić, oprócz mojego ojca, który zginął i brata, który został siłą wcielony do armii.

Co Pan i pańska rodzina robiliście po powrocie z Syberii?

Pracowaliśmy dorywczo, by cokolwiek zarobić.

Co postanowił Pan robić po zakończeniu nauki?

Robiłem różne rzeczy, handlowałem trochę na bazarze. Potrzebowałem pieniędzy na przetrwanie,

a nie żeby się wzbogacić. Ludzie po wojnie czuli się zagubieni, potrzebowali jakiegoś sensu życia...

W jakich okolicznościach został Pan aresztowany tu, w Polsce?

Kiedy miałem 18 lat, przeniosłem się do Gdańska. Chodziłem tam do szkoły i należałem do podziemnej organizacji walczącej z komunistycznym reżimem. Na nasze nieszczęście, zostaliśmy rozpracowani. Kiedy władze się o nas dowiedziały, kilkaset młodych osób z trzech różnych miast zostało aresztowanych. Rok spędziłem w więzieniu. Jak widzicie, Syberia to nie wszystko: to był ten sam system – komunizm tam, komunizm tu.

Dostałem jednak trochę pieniędzy w ramach rekompensaty za czas spędzony w więzieniu. W nowym ustroju zostałem uznany za więźnia politycznego. Rekompensatę dostałem tylko za czas spędzony w więzieniu tutaj, w Polsce, a nie za Syberię. Za to nic nie dostałem i pewnie już nie dostanę.

Był Pan bardzo młody w momencie aresztowania, miał Pan tylko 18 lat. Co Pan robił dla tej podziemnej organizacji w Gdańsku? Za co poszedł Pan do więzienia?

Powodów było wiele, głównie była to partyzantka. Atakowaliśmy różne instytucje, głównie polityczne, zbieraliśmy broń. Nie było to zbyt trudne po wonie, bo broń była praktycznie wszędzie. Aresztowano mnie za działalność militarną. Ponadto, nie potrzebowali zbyt wielu powodów, by kogoś zamknąć. Nie brałem bezpośredniego udziału w atakach, ale organizacja - już tak. Mieliśmy kontakty z Londynem, więc była to też działalność konspiracyjna.

Czy czuł się Pan rozczarowany, że po powrocie z Syberii został Pan ponownie aresztowany i musiał Pan żyć w komunistycznym kraju?

Było to olbrzymie rozczarowanie. Moja rodzina miała przed wojną duże gospodarstwo, nie potrzebowaliśmy niczego więcej. Mieliśmy praktycznie wszystko. Po powrocie nie mieliśmy nic, byliśmy jak żebracy. Rząd w ogóle nam nie pomógł.

Po wyjściu z więzienia wstąpił Pan na dwa lata do wojska. Czy to był Pana wybór, czy „oferta” ze strony państwa?

Wojsko było w Polsce obowiązkowe. To nie był mój wybór. Odbyłem swoją służbę w Warszawie, w Wojskowej Akademii Technicznej, gdzie uczyło się wielu rosyjskich żołnierzy i członków dawnej NKWD. Tajne rosyjskie służby szukały ludzi, którzy mogliby donosić na innych. Szukali informatorów. Szukali kabli, a ci z kolei, szukali ludzi z których mogliby wydobyć informacje. To była ciężka służba. Wiele razy nas przesłuchiowano i próbowano wyciągnąć informacje.

Spotkania we trzech były niebezpieczne, ale jak spotykaliśmy się we dwóch, powiedzmy ja i mój kolega, albo inny żołnierz, cały czas rozmawialiśmy o dezercji. Rozmyślaliśmy, planowaliśmy jak uciec z wojska. Nawet teraz jest to nielegalne, a wtedy to dopiero była duża rzecz. Wtedy obowiązywała jeszcze kara śmierci. Służba Rosjanom była naprawdę trudna. To byli niebezpieczni, nieokrzescani ludzie. Baliśmy się ich, szczególnie, gdy nas przesłuchiwali. Grozili, że mnie zabiją i nikt się nawet o tym nie dowie. Tak to załatwiali.

Czy działał Pan jeszcze w swojej organizacji po wyjściu z więzienia?

Wszyscy członkowie zostali złapani i aresztowani. Po wyjściu z więzienia nie było już organizacji.

Jak wyglądało Pana życie po wyjściu z wojska?

Były to już lepsze czasy. Było lżej, nie

musiałem się już tak bać. Po wyjściu z wojska przeprowadziłem się tu, w okolice Zamościa.

Co było dla Pana gorsze emocjonalnie? Zesłanie na Syberię, czy więzienie w Polsce?

Nie mogłem powiedzieć na głos, że byłem na Syberii. Musiałem to ukrywać mówiąc, że moi rodzice wyjechali do Związku Radzieckiego. Musiałem o tym mówić, jakby to był mój wybór, swego rodzaju wycieczka. Po powrocie byłem traktowany jak wróg, musiałem się ukrywać z moją przeszłością. Mówiono, że niewinni ludzie nie byli zsyłani na Syberię, więc musieliśmy popełnić jakieś przestępstwo, by sobie na to zasłużyć. Wiadomym było, że wszyscy Sybiracy byli wrogami systemu. Tak więc gorszym dla mnie było to, że moi rodacy traktowali mnie w ten sposób po powrocie do kraju. Grożono mi mówiąc: „Kojarzysz tego, czy tamtego? Nie żyją. Zastanów się, czy chcesz skończyć tak samo.”

Jak poznał Pan swoją żonę?

Pracowaliśmy w tym samym miejscu, ona pracowała w biurze. W niedzielę chodziliśmy na spacer do parku tu, w Zamościu. Chodziliśmy na randki między drzewami, jak wiele innych par. To jeden z największych i najładniejszych parków w Polsce.

Co uważa Pan za swoje największe, życiowe osiągnięcie?

Napisałem 12 książek. Większość z nich to książki o Zamojszczyźnie. Wydałem też trochę zabawnych wierszy.

Dziękujemy bardzo za tę rozmowę i życzymy Panu zdrowia i spełnienia marzeń.

UCZESTNICY PROJEKTU Z NASZYCH ORGANIZACJI PARTNERSKICH:

Cypr: Kyriacos Stouppas, Marina Nikolaou, Christina Toulekkis, Crystalla Tsoutso-
uki, Evripides Gavriel, Savvas Constantinou

Czechy: Martin Karen, Dalibor Jiříček, Jan Jurčík, Libuše Moudrá, Milan Hruška

Węgry: Zsigmond Dániel , Réka Győry, Anna Gelencsér, Emese Hegedűs, Szabolcs
Balázs Tóth, Sandor Varga

Rumunia: Razvan Alin Rotariu, Adelina-Elena Craiciu, Dumitru Silviu Ionut, Geor-
giana Carcea, Luana-Carina Vasile, Iuliu Maler

POLSCY UCZESTNICY, CZŁONKOWIE, WOLONTARIUSZE I PRZYJACIELE STOWARZYSZENIA HEUREKA GENERATOR ZAANGAŻOWANI W PROJEKT:

Andrzej Smyk, Weronika Nożyńska, Paweł Piątkowski, Kacper Sternik, Mateusz Kaczor, Oskar
Nowakowski, Aleksandra Chudek, Maciej Pietraszuk, Ewa Kostrubiec, Marcin Rząca, Małgo-
rzata Izewska.

PODZIĘKOWANIE ZA POMOC W REALIZACJI PROJEKTU:

Pani Krystynie Rybińskiej-Smyk (Wice Prezes Stowarzyszenia Zamojskie Centrum Wolonta-
riatu); Pani Barbarze Szleszyńskiej-Malec (Prezes Związku Sybiraków Oddział w Zamościu);
Pani Joannie Liberadzkiej-Duras (dyrektor Zamojskiego Centrum Informacji Turystycznej);
Panu Andrzejowi Urbańskiemu (dyrektorowi Muzeum Zamojskiego); Pani Magdalenie Doł-
gan (zastępcy Prezydenta Miasta Zamość); Pani Anecie Karczmarek, Panu Leszkowi Kluchowi
oraz Panu Piotrowi Bartoszkowi (nauczycielom języka angielskiego w II Liceum Ogólnokształ-
cącym im. C.K. Norwida w Krasnymstawie); Panu Markowi Madejowi (Telewizja Kablowa Za-
mość Video-Kadr); Pani Annie Kostrubiec.

PARTNERZY PROJEKTU

STOWARZYSZENIE 'CO-EFFICIENT' WĘGRY

Istvan Utca 28 1048 Budapest
e-mail: info@egyutthato.eu
web: www.egyutthato.eu



STOWARZYSZENIE 'EVOLUTION RESITA' RUMUNIA

George Enescu 5/10 320161 Resita
e-mail: evolutionresita@yahoo.com
web: associationevolution.wordpress.com



STOWARZYSZENIE 'BRNO FOR YOU' CZECHY

Kotlářská 260/15 602 00 Brno
e-mail: info@brnoforyou.cz
web: www.brnoforyou.cz



NIEFORMALNA GRUPA MŁODZIEŻY 'SEE WHY' CYPR

7 Kosti Palama Lakatamia 2313 Nicosia
e-mail: see.why@europe.com
web: www.facebook.com/See-Why/



GRANT

NARODOWA AGENCJA PROGRAMU ERASMUS+

Aleje Jerozolimskie 142A

02-305 Warszawa

Polska

e-mail: yia@erasmusplus.org.pl

www: erasmusplus.org.pl



PUBLIKACJA ODZWIERCIEDLA JEDYNIĘ STANOWISKO AUTORÓW
I KOMISJA EUROPEJSKA NIE PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚCI
ZA UMIESZCZONĄ W NIEJ ZAWARTOŚĆ MERYTORYCZNA.

Patronat honorowy

Prezydenta
Miasta Zamość



Związek Sybiraków
Oddział Zamość



Patronat medialny



roztocze.net
ZAMOJSKI DZIENNIK INTERNETOWY



